



Amy J. Fetzer

Wspomnienie początku

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Plantacja Nine Oaks, Karolina Południowa

Ben Blackmon cenił sobie spokój. Płacił krocie za to, żeby nikt się nie pętał w pobliżu jego posiadłości. Właściwie jego siostra Suzannah też powinna należeć do grona „niktów”. Ta kobieta potrafiłaby nawet świętego wyprowadzić z równowagi.

To, o co go prosiła, było w jej mniemaniu drobną przysługą, ale stanowczo przekraczało możliwości Bena. Nie żądała co prawda, by wyjechał z Nine Oaks, bo tego nie zrobiłby nawet dla niej, chciała „tylko”, żeby zaprosił kogoś do siebie. Ten ktoś miał mieszkać w Nine Oaks. Przez kilka tygodni!

Tym kimś była Julie DeLongpre!

Równie dobrze mogłaby sobie zażyczyć, żeby ogłosił wszem i wobec swoje najskrytsze marzenie.

- Nie. - Nie wstając z fotela, sięgnął po segregator. - W tej okolicy jest dość hoteli. Można w nich przebierać jak w ulęgałkach.

- Nie możemy traktować Julie jak kogoś obcego - nagabywała go Suzannah. - To by było niegrzeczne.

Ben nie widział w tym nic niestosownego. Nie życzył sobie żadnych gości, a zwłaszcza tej kobiety.

Suzannah podeszła bliżej, rzuciła mu spojrzenie, które znał od dzieciństwa. Oznaczało ono, że siostra nie popuści i w końcu postawi na swoim.

- Chyba zapomniałeś, że to jest także mój dom.

- Nie zapomniałem. Ciągle mam nadzieję, że zwrócisz mi połowę kosztów remontu - zakpił Ben.

- Nie zmieniaj tematu - warknęła Suzannah.

- A ty wreszcie przyjmij do wiadomości, że w tym domu nie będzie żadnych gości. - Zerknął na zamknięte drzwi, jakby czuł obecność czającej się za nimi Julie.

- Nie ma żadnego racjonalnego powodu, żebyś siedział tu sam jak palec. - Popatrzył na nią gniewnie i siostra odrobinę spuściła z tonu. - Niech ci będzie. Pewnie masz jakiś powód, tylko nie chcesz, żebym go poznała.

Ben spojrział w sufit, modląc się o cierpliwość.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego uważasz, że powinienem zapraszać do Nine Oaks obcych ludzi.

- Ona nie jest obca.

Oczywiście, pomyślał. To przecież Julie, zgrabna, pociągająca, marzenie każdego mężczyzny. Śliczne ciało, nadmiar energii...

Poznał ją dawno temu. Julie DeLongpre, przyjaciółka Suzannah, przetoczyła się jak burza przez ten dom, a przy okazji także przez życie Bena. Nie trwało to długo, ale wystarczyło, żeby dopadł ją pod schodami dla służby i pocałował.

Cóż to był za pocałunek! Najbardziej wstrząsające, najbardziej zmysłowe przeżycie. I ogromny błąd. Julie przypominała pożar buszu: nieujarzmiona i przerażająca. Tak, Julie go przerażała. Wystarczył jeden pocałunek, by Ben zdał sobie sprawę, że wdał się w coś, co go wciągnie, pochłonie, pożre z kośćcami. Już na samą myśl budziło się w nim pożądanie.

Pomyślał z żalem, że przy Lily nigdy nie czuł nawet cienia tego, co przeżył z Julie w jednej szalonej chwili. Tylko że z Lily się ożenił.

Spochmurniał na wspomnienie byłej żony, odezwało się poczucie winy, które zwykle starał się trzymać na wodzy.

Wstał z fotela, podszedł do okna, odsunął kotarę. Patrzył na pejzaż, który nie zmienił się od dwustu lat: stare dęby, zadbane ogród, leniwie płynąca rzeka.

- Spotkała się z tym facetem dwa razy, potem mu oświadczyła, że to koniec, ale on się nie odczepił, tylko zaczął ją prześladować - opowiadała Suzannah. Ben wprawdzie nie słyszał początku tej opowieści, lecz nie chciał prosić siostry o powtórzenie. Naprawdę niewiele go to obchodziło.

- Co to za jeden? - zapytał dla porządku.

- Randall Kreeg V - odparła Suzannah takim tonem, jakby miała w ustach coś wyjątkowo obrzydliwego.

Ben znał Randalla Kreega. Wszyscy go znali. Był synem prezesa Kreeg Enterprises, firmy komputerowej tworzącej programy wykorzystywane przez wszystkich reżyserów filmowych.

- O ile dobrze pamiętam, Kreeg został aresztowany.
- Owszem. Julie ma zeznawać na procesie. Jest głównym świadkiem oskarżenia. Wiedziałaś, że P.A. DeLong to nasza Julie. Jest scenarzystką.

Ben niedawno oglądał w telewizji reportaż o sprawie Kreega, ale nie skojarzył, że P.A. DeLong to Julie. Skąd miał wiedzieć?

- Widzę, że zrozumiałaś - Suzannah patrzyła z satysfakcją na zdumioną minę brata. - Na domiar złego prasa w Los Angeles zmieszała Julie z błotem. Oskarżyli ją o celowe nadanie rozgłosu sprawie i jeszcze Bóg wie o co. Jakby nie wiedzieli, że Kreeg ją terroryzował.

- On jest w więzieniu, więc nic jej nie grozi.

- Na razie siedzi, ale może wyjść w każdej chwili. I ma najlepszych adwokatów. Już się szykują, żeby zetrzeć na proch naszą Julie. Ta nagonka prasowa to przecież nie przypadek. Julie musiała uciekać przed pismakami z Los Angeles. Myślisz, że zostawili ją w spokoju? Ścigali ją przez osiem stanów, przyjechali za nią aż tutaj. Jest wykończona.

Julie i wyczerpanie, pomyślał z niedowierzaniem Ben. Ta kobieta ma więcej energii niż dziesięciu ludzi razem wziętych, Suzannah najpewniej przesadza.

Nie miał ochoty spełnić żądania siostry. Znów wyrzał przez okno. Za plecami usłyszał, jak drzwi się otwierają.

- Dosyć, Suza! Przestań!

Ben od razu rozpoznał głos Julie.

- Nie mogę pozwolić, żebyś go błagała.

- Słyszałaś? - spytała przerażona Suzannah.

- Nie podsłuchuję, ale on tak głośno mówi, że słyhać nawet przez grube drzwi. Jasno i wyraźnie dał do zrozumienia, że mam się wynosić.

No i dobrze, pomyślał Ben. Nie będę musiał się powtarzać.

Chociaż z drugiej strony.... Gdyby odmówił prośbie siostry, pewnie nigdy by mu tego nie wybaczyła. A przecież nie miał wokół siebie zbyt wielu bliskich ludzi. Na dodatek uwielbiał młodszą siostrę. Dotąd zawsze spełniał wszystkie jej zachcianki. Pewnie dlatego wypowiedział słowa, tak bardzo brzemiennie w skutki.

- Możesz zostać, Julie.

Dźwięk ciepłego barytonu obudził w Julie wspomnienia, ale udała, że nic się nie stało.

- Cóż za wspaniałomyślność - prychnęła. - Wielkie dzięki, ale nie skorzystam. Załatwię to sobie inaczej.

Choć zupełnie nie miała pojęcia, jak i gdzie mogłaby się schować. Pismacy mieli szósty zmysł. Zdążyli ją już przegnać przez osiem stanów, nawet w mieszkaniu Suzannah ją wytropili. Naprawdę nie miała się gdzie schować, odizolować od świata, który ostatnio stał się wyjątkowo nieprzyjazny.

Już miała wyjść, ale ostry ton głosu Bena przykuł jej uwagę.

- Julie.

- Tak? - spytała, a serce podskoczyło jej do gardła.

- Wybacz moje opory - powiedział łagodnie. - Z radością będę cię gościł w Nine Oaks.

Nie zabrzmiało to zbyt szczerze.

- A może byś na mnie popatrzył i dopiero wtedy to powiedział - zaproponowała Julie. - Bo tak to trochę trudno mi w to uwierzyć.

Ben niechętnie odwrócił głowę. Ich oczy się spotkały i w tej samej chwili cofnęli się w czasie o dziewięć lat. Znow stali pod schodami, ściskając się jak szaleni, pragnąc być jeszcze bliżej siebie, najlepiej całkiem nago, skóra przy skórze.

Zrobiło mu się wstyd, że następnego ranka sprawił jej przykrość. Ale gdy się miało do czynienia z Julie, jedynym sposobem, żeby sobie z tym poradzić, było całkowite zerwanie, kompletna abstynencja, jak przy każdym innym uzależnieniu. A przecież pragnął jej jak powietrza:..

Ależ była piękna! Przez dziewięć lat zmieniała się z dziewczyny w oszałamiająco piękną kobietę. Ciemnorude włosy okalały jej twarz wystrzępionymi pasemkami. Ta dzika fryzura bardzo do niej pasowała. Spojrzenie Bena odruchowo przesunęło się na jej usta; przypomniał sobie ich przedziwny smak. Potem spojrzął niżej, na zwiewną rdzawą bluzeczkę i skórzaną spódniczkę tak krótką, że właściwie powinna być prawnie zabroniona.

Pociągająca, choć nawet się nie stara, pomyślał, dostrzegłszy pod przejrzystą bluzką zarys koronki.

Miał wielką ochotę sprawdzić, czy to wytwór młodzińskich marzeń, czy może jest tak samo prawdziwa, jak jego wspomnienia. Niestety, nie mógł sobie na to po-

zwolić. Nie wolno mu było jej dotykać, nie miał prawa jej pragnąć.

- Jeśli szukasz schronienia, to Nine Oaks jest do twojej dyspozycji - powiedział.

Julie wpatrywała się w niego jak urzeczona. Był wyższy niż zapamiętała, szerszy w ramionach, jego gęste brązowe włosy lśniły, a mocna szczeka odcinała się ostro od śnieżnobiałej koszuli. Jego spojrzenie w niczym nie przypominało tamtego mężczyzny sprzed lat. Patrzył na nią tak, że poczuła się całkiem odkryta, zupełnie bezbronna. Wygładziła skórzaną spódniczkę. Wcale jej się nie podobało, że tak się przy nim denerwuje.

A jednak dano jej możliwość, za którą setki ludzi dałyby się pokrajać: mogła zobaczyć z bliska najsławniejszego odludka na całym Południu.

W niczym nie przypominał pustelnika. Wprawdzie nie oczekiwała długich włosów, bladej cery ani niczego w tym rodzaju, a jednak wyglądał jak... No cóż, był tak samo przystojny jak dziewięć lat temu, tylko bardziej posępny, jeszcze bardziej pociągający i tajemniczy. Julie zapragnęła poznać powody, dla których ukrywał się przed światem.

- Czy to prawda, że potrzebujesz schronienia? - powtórzył.

Julie była pewna, że on nie życzy sobie, żeby została w Nine Oaks. W normalnych warunkach pojełaby aluzję i zmyła się jak najszybciej, lecz tym razem naprawdę nie miała dokąd pójść. Znalazła się w rozpaczliwej sytuacji, jej życie zmieniło się w koszmar i nie zносиło się na to,

żeby dziennikarze dali jej spokój przed procesem, który miał się rozpocząć za kilka tygodni. Potrzebowała spokoju, by odzyskać poczucie bezpieczeństwa. Potrzebowała czasu, żeby wreszcie móc spać.

- Tak - odparła. - Choćby na trochę.

- Czy masz ze sobą swoje rzeczy? - zapytał.

- Nie mam. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że wyrazisz zgodę.

Ben uniósł brwi. Spojrzał na siostrę, stojącą za plecami Julie, dojrzał w jej oczach ostrzeżenie.

Nie waż się jej skrzywdzić, mówiły oczy Suzannah. Już raz to zrobiłeś.

Chyba źle zrozumiałem, pomyślał Ben. Przecież Suzannah nie wie o tamtym pocałunku. Chociaż... Przyjaźnią się z Julie od lat, pewnie o wszystkim sobie opowiadają. Tym bardziej muszę się trzymać z daleka od Julie.

- Ponieważ wyjeżdżam do Anglii - odezwała się Suzannah, a Ben przypomniał sobie, że rzeczywiście, i to w jego sprawach - Julie przyjedzie tu dziś po południu.

- Mam przysłać po was limuzynę? - zapytał Ben, podchodząc do telefonu.

- Ależ broń Boże! - zawołała Julie. - Nie wiedziałabym, jak się w tym zachować.

- Przynajmniej nie sama - mruknęła Suzannah, gdy obie z Julie wymieniały sekretne uśmiechy. Policzki Julie delikatnie się zaróżowiły i Ben poczuł zazdrość o tego mężczyznę, który miałby przyjemność zachowywać

się nieprzywoicie razem z Julie w przestronnym wnętrzu luksusowej limuzyny.

Julie wypchnęła Suzannah za drzwi. Obejrzała się i jej oczy spotkały się z oczami Bena.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Ben - powiedziała. - Do zobaczenia po południu.

Nie zobaczymy się, pomyślał Ben, ale nic nie powiedział, tylko skinął głową.

Komputer przekazał sygnał z elektronicznych czujników przy głównej bramie, przypominając Benowi o danej siostrze obietnicy. Właściwie od rana o niczym innym nie myślał. Zachował się szarmancko, choć wiedział, że popełnił błąd.

Ben popatrzył na ekran. Kamery były rozlokowane wokół całej posiadłości, a obraz z każdej z nich zajmował osobny kwadrat na ekranie monitora. W lewym górnym rogu widać było Julie, siedzącą w żółtym dżipie bez dachu. Gwałtownie machała ręką do kamery, jednocześnie oglądając się za siebie. Widać było, że jest przerażona. Ben nagle poczuł przemożną chęć zaopiekowania się nią.

Prędko wcisnął odpowiedni guzik, brama się otworzyła. Julie przejechała przez nią, gdy tylko zrobiło się dość miejsca dla samochodu, i brama natychmiast się zamknęła. Ben skierował kamerę na drogę, po której jechała furgonetka jakiejś stacji telewizyjnej. Auto zatrzymało się przed bramą, wyskoczył fotograf i zaczął pstrykać zdjęcia. Ben tak się wściekł, że aż uderzył w mikrofon.

- To jest teren prywatny - powiedział. - Proszę odejść.

- Droga jest dla wszystkich, facet - odrzyknął mężczyzna.

- Droga jest moja, a posiadłość dobrze strzeżona.

Jakby na potwierdzenie jego słów do bramy podbiegły dwa dobermany. Ich obnażone kły i groźne powarkiwania nie pozostawiały wątpliwości co do zamiarów. Fotograf - na wszelki wypadek - schował się w furgonetce.

Ben wstał od konsoly. Suzannah nie powiedziała mu, co takiego Kreeg zrobił Julie, więc sam poszukał sobie informacji o tej sprawie. Prasa rzeczywiście mieszała Julie z błotem, za to prawie nic nie pisała o Kreegu ani o jego aresztowaniu. Dziwnie to wyglądało. W końcu powszechnie znanego bogacza nie zamyka się do więzienia za nic, a z doniesień prasowych można było wysnuć wniosek, że to Julie jest przestępcą, a Kreeg niewinną ofiarą.

Tak czy siak, nie chciał nawet patrzeć na Julie, która właśnie gnała dębową aleją wprost do jego domu. Wziął kartkę papieru i zaczął robić notatki, których i tak zupełnie nie rozumiał. W końcu jednak pokusa zwyciężyła: zerknął na monitor. Wyglądała bosko, jak zwykle. Ciemnorude włosy powiewały na wietrze, wspaniałe ciało ubrane w obcisłą bluzeczkę i dżinsową spódniczkę... Julie zawsze była trochę dzika. Właśnie dlatego poprzestał wówczas na pocałunku. Ta jej niespożyta energia zdawała mu się zbyt niebezpieczna.

Żal ścisnął mu pierś jak obręczą, przydusił. O wiele mocniej niż trzeba. Ben wcisnął guzik na konsoli.

- Benson?

- Zauważyłem ją, sir.

Benson był zawsze o krok przed wszystkimi, nawet przed Benem.

- Dopilnuj, żeby miss DeLongpree niczego nie brakowało.

- Tak jest. Czy pan się z nią spotka, sir?

-Nie.

Wiedział, że Julie nie będzie zadowolona, ale musi się podporządkować. Zresztą ona też potrzebowała spokoju. Nine Oaks to forteca, prywatny raj odległy od ludzkiego wścibstwa. Od wszystkich. Przez całych pięć lat właśnie tym była dla Bena jego posiadłość. Wolał nie myśleć o niej jak o więzieniu.

Jeśli Julie DeLongpree potrzebuje samotności, pomyślał, to będzie ją miała, ale niech nie liczy na moje towarzystwo. Wystarczy, że zmarnowałem życie jednej kobiecie. Nie zamierzam unieszczęśliwiać następnej.

Julie minęła pędem stareńkie dęby, rosące wzdłuż ponad kilometrowej drogi prowadzącej do domu. Konary dębów rozpościerały się nad drogą jak ramiona, witające w ustroniu ją, ale zabraniające dostępu obcym. Zmierzała do wiekowego domu Augustusa Bena Blackmona IV, pułkownika z wyboru.

Nikt, włączając w to jego siostrę, nie wiedział, dlacze-

go od pięciu lat nikomu się nie pokazuje. Od śmierci żony nie wytykał nosa ze swojej samotni.

Wprawdzie Ben nigdy nikomu się nie zwierzał, ale Suzannah przypuszczała, że to wszystko z miłości do żony, że on wciąż boleje po śmierci ukochanej kobiety. Julie - zdolna scenarzystka - wymyśliłaby co najmniej tuzin pokrętnych scenariuszy, choć żaden z nich nie był tak wzruszający jak historia o mężczyźnie, który nie chce widzieć świata bez swej najdroższej. Jej zdaniem, marnował się tu kawał przystojnego faceta.

Naprawdę chciałyby wiedzieć, czemu odciął się od świata. Po co zamykać się bez potrzeby? Ona by chyba oszalała, gdyby musiała tak żyć całymi latami. Gdyby nie ta nagonka prasowa...

Zerknęła we wsteczne lusterko. Odetchnęła z ulgą, widząc odjeżdżającą furgonetkę stacji telewizyjnej. Nie była przyzwyczajona do zainteresowania mediów. Pisała pod pseudonimem RA. DeLong i ta anonimowość bardzo jej odpowiadała. Dopiero Randall Kreeg wszystko zmienił.

Przerażona znów zerknęła w lusterko, jakby się spodziewała, że zobaczy za plecami jego zadowoloną z siebie, arogancką gębę.

Tutaj mnie nie dosięgnie, pomyślała, ściskając kierownicę. Nie muszę się bać. Bez pozwolenia Bena nikt nie dostanie się na teren tej posiadłości.

Tak, w tej chwili samotność była dla niej prawdziwym dobrodziejstwem. W tej chwili, ale nie za pięć lat. Tyle na pewno by nie wytrzymała. Ben stanowczo przesadził,

choć z drugiej strony ona nie była Benem. Nigdy nikogo nie kochała aż tak bardzo. No i nie miała posiadłości, w której mogłaby się schronić. Do teraz.

Podjechała przed fronton domu sprzed wojny secesyjnej, zatrzymała samochód, a potem stanęła na siedzeniu i trzymając się przedniej szyby, patrzyła.

Mogłaby iść o zakład, że dwieście lat temu dom wyglądał tak samo. Suzannah opowiadała jej, że Ben przywrócił posiadłości poprzednią świetność. Nawet stajnie odbudował. Wokół domu, na dolnym i górnym poziomie ciągnęły się werandy. Pomalowany na biało dom z szarymi okiennicami, tak ciemnymi, że wydawały się czarne, miał część centralną i dwa boczne skrzydła ustawione do niej pod kątem prostym. Werandy wychodziły na port, na rzekę i na basen. Za rzeką ciągnęły się akry ziemi, na których były sady, plantacja ryżu, cukru, orzeszków ziemnych i bawełny. I lasy. Wprawdzie zdjęcia Nine Oaks można było znaleźć na pocztówkach sprzedawanych we wszystkich sklepach, restauracjach i hotelach Południowej Karoliny, ale żaden wizerunek nie mógł się równać z oryginałem.

Julie kochała ten dom. Suzannah nie mogła zrozumieć pomieszanego z zazdrością zachwytu przyjaciółki, no ale ona wychowała się w Nine Oaks. Ona i Ben.

Drzwi frontowe się otworzyły. Wprawdzie nie spodziewała się Bena, ale zrobiło jej się przykro na widok podążającego ku niej młodego człowieka w białej koszuli i czarnych spodniach. Na szczęście za młodzieńcem szedł

starszy mężczyzna w ciemnym garniturze. Julie od razu go poznała.

- Nazywam się Willis - przedstawił się młodzieniec, uśmiechając się do Julie. - Zaniosę pani walizki, a potem zaparkuję auto.

Podawała mu kluczyki, podziękowała i uprzedziła, że drugi bieg trochę się zacina. Starszy mężczyzna, z włosami przyprószonymi siwizną czekał na nią na szerokich schodach.

- Witaj, Benson - powitała go, uradowana. - Jak leci?

Benson skinął głową. Jego dystygowana mina nie zmieniła się ani na jotę.

- Witamy w Nine Oaks, panno DeLongpree - powiedział.

- Dziękuję. - Julie pocałowała go w policzek. Wiedziała, że to go wytrąci z równowagi. - Wspaniale wyglądasz, kochasiu.

Benson zamrugał powiekami, odchrząknął, uszy mu poczerwieniały.

- Pani także.

- Nadal wszystkim tutaj zarządzasz?

- Zapewne umrę na tym stanowisku - odparł, a oczy mu załśniły.

Julie miała ochotę go połaskotać, tylko po to, żeby sprawdzić, czy jeszcze umie się uśmiechać. Lubiła go. Pewnego razu Suzannah podkradła ojcu butelkę alkoholu i obie trochę za dużo wypily. Benson znalazł je pijaniutki i zdołał jakoś zaciągnąć do pokoju Suzan-

nah, zanim ktokolwiek odkrył przestępstwo. A potem przyszedł nieproszony, żeby im dać stary, wypróbowany specyfik na kaca. I nikomu nie pisał ani słowa. Jak można nie kochać mężczyzny, który potrafi zachować dyskrecję?

Weszła za nim do chłodnego wnętrza domu. Wszystko było takie, jak zapamiętała. Drewniany parkiet w holu, jasnożółte ściany, rzeźbione drzwi z drewna orzecha... Prawdziwą ozdobą tego wnętrza były dwie bliźniacze klatki schodowe prowadzące na piętro wschodniego i zachodniego skrzydła.

Scarlett ze swoją Tarą może się schować w mysią dziurę, pomyślała Julie.

- Gdzie jest Ben? - spytała, spoglądając na Bensona.
- Pan Blackmon jest bardzo zajęty. Proszę za mną - ruszył w stronę schodów.
- Taki zajęty, że nie może przywitać gościa?
- Wie, że pani przyjechała, panno Julie.

Nie wątpiła w to, a jednak nie ruszyła się z miejsca. Benson przystanął tuż przy schodach, spojrzął na nią, unióś brwi, jakby chciał spytać, co ona znów kombinuje.

- Tylko się przywitam - odpowiedziała na jego nieme pytanie.

- Pan Blackmon nie przyjmuje gości - powiedział Benson, a w jego ciemnych oczach widać było współczucie.

- Naprawdę z nikim się nie spotyka? - Mimo wszystko miała nadzieję, że wieści o jego ścisłym odosobnieniu są mocno przesadzone.

Oczy Bena się zwięźli. W mgnieniu oka z majordomusa przeobraził się w psa obronnego.

- Robi to, na co ma ochotę, panienko.

- Ja też - odcięła się Julie i poszła prosto do biblioteki, gdzie spodziewała się zastać Bena.

W zasadzie nie miał wobec niej żadnych zobowiązań i jeśli chciał ją ignorować, to miał do tego święte prawo. A raczej miałyby, gdyby dziewięć lat temu nie całował jej do utraty tchu. Od tamtej pory byli ze sobą złączeni, czy on tego chciał, czy nie.

- Nie radziłbym otwierać tych drzwi, panno DeLongpree.

Boże, pomyślała Julie. To zabrzmiało tak, jakby się o mnie bał.

- Dziękuję za ostrzeżenie, Benson. Jestem gotowa na konsekwencje.

Otworzyła drzwi, przekroczyła próg biblioteki. Rano nawet jej się nie przyjrzała i dopiero teraz zauważyła półki z ciemnego drewna, wypełnione woluminami w skórzanych oprawach. W kilku miejscach pokoju ustawiono antyczne stoliki, otoczone krzeselkami. Drewniany parkiet okryto grubymi dywanami w kolorze burgunda, błękitu i złota. Pokój przywodził na myśl starą brandy i kubańskie cygara, przyciszone rozmowy o wielkiej polityce i jeszcze większych pieniądzech.

Julie chłonoła przeszłość, wypełniającą pokój jak dym zalegający na ścianach. Dopiero po chwili znów rozejrzała się po pokoju.

Bena nie było w bibliotece.

Na jednym skrzydle biurka w kształcie podkowy stał rząd monitorów komputerowych, prócz tego lampa, telefon, suszka. A także porcelanowa filiżanka, znad której unosiła się para.

Pewnie się zorientował, że chce tu wejść i uciekł, pomyślała Julie.

Poczuła ukłucie w sercu. Wyszła i cichutko zamknęła za sobą drzwi.

Przypomniała sobie tamto uczucie, które ją ogarnęło po tym, jak Ben żarliwie ją całował, a następnego dnia zachowywał się tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło: wykorzystana, nic niewarta i odrzucona.

ROZDZIAŁ DRUGI

Benson wśliznął się do biblioteki, stanął przy biurku Bena.

- Ulokowałeś ją? - spytał Ben, nie przerywając pisanja.

- Na tyle, na ile panna DeLongpree da się ulokować, sir.

- Nadal na najwyższych obrotach? - Ubawiony Ben popatrzył na Bensa.

- Tak jest. Dałem jej złoty apartament we wschodnim skrzydle. Koniecznie chciała się z panem zobaczyć - dodał.

Ben usłyszał, że ktoś wchodzi i wymknął się przez tajne przejście, które ponad sto lat temu wybudowali jego przodkowie, na wypadek, gdyby trzeba było uciekać przed wojskami Unii. Zachował się nieuczciwie, właściwie nawet stchórzył, ale wytłumaczył sobie, że tym sposobem ratuje Julie. Powinna się była spodziewać, że on nie jest już tym samym człowiekiem, jakiego znała.

- Gdzie jest teraz?

Benson spojrział na ekran, pokazujący obraz z kamer. Ben podążył za jego wzrokiem i zobaczył, jak Julie w kostiumie kąpielowym podskakuje na trampolinie.

- Dobry Boże - westchnął. Zrobiło mu się gorąco.

Kostium był dwuczęściowy i prawie niczego nie zakrywał, choć - prawdę mówiąc - żaden ubiór nie zdołałby zakryć tego fantastycznego ciała. Patrzył, jak Julie wyskakuje w górę, jak niemal bezszelestnie wślizguje się do wody.

- Robi wrażenie - stwierdził Benson.

Ben zerknął na niego. Gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, przysięgłby, że Benson się uśmiecha.

Julie wynurzyła się z wody i zaczęła płynąć. Przecinała wodę jak różowa, gorąca torpeda. Ben chwilę jej się przyglądał, a potem przełączył na obraz z kamery w innej części posiadłości.

- Nie odpuści panu bez walki, sir - odezwał się Benson.

- W końcu będzie musiała dać za wygraną.

- Sir... Może jednak zechciałby pan...

- Daruj sobie kazania, Benson.

Od czasu do czasu Benson go prosił, żeby choć na trochę wyjechał z Nine Oaks. Ben nie miał mu tego za złe. Benson właściwie go wychował, Benson był świadkiem jego kłótni z żoną i nie kto inny, tylko Benson mu powiedział, że Lily wypłynęła żaglówką. Benson wiedział o nim wszystko i dlatego mógł sobie pozwolić na więcej niż ktokolwiek inny.

Leniuchowanie to duża sztuka. Julie nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Od dzieciństwa matka wpajała jej, że „rażące marnotrawienie czasu” jest właściwie przestęp-

stwem. Dopiero gdy Julie się usamodzielniała, zdołała zerwać z tą zasadą. Nie całkiem, ale prawie.

Zawsze była trochę nadaktywna, co oznaczało, że szybciej poruszała ustami, niż myślała, co i jej, i Suzannah przysparzało wielu kłopotów w szkole i poza nią. Zawsze musiała coś robić i rzadko odpoczywała, lecz teraz dużo by dała za spokojny sen. Panicznie bała się wieczoru, zwłaszcza tej jego części, kiedy należałoby położyć się spać.

Właściwie mogła jeszcze popływać, ale miała już dosyć wody. Może później, pomyślała, po jednym z tych fantastycznych dań Jean Claude'a.

Przed wejściem do domu dokładnie zawiązała wokół bioder kwiecisty sarong. Stukot sandałów na obcasie odbijał się echem po pustym domu. Przez ten dźwięk poczuła się jak w muzeum, gdzie hałasowanie jest surowo wzbronione.

Ona i Ben byli jedynymi ludźmi w tym domu, którzy nie byli pracownikami. To smutne, że mając tyle miejsca, wcale się go nie wykorzystuje. Dom niemal domagał się hucznego przyjęcia.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że idzie do biblioteki. Nie chciała tędy przechodzić, zwłaszcza że była nieubrana.

Irytowała ją idiotyczna potrzeba zobaczenia Bena. Nie miała ochoty rozmawiać z kimś, kto zadał sobie sporo trudu, byleby się z nią nie spotkać, a jednak ta głupia potrzeba wciąż w niej tkwiła.

Wbrew rozsądkowi sięgnęła do klamki drzwi biblioteki. Zatrzymała się w pół drogi. Nie wiedziała, z kim rozmawiał, ale najwyraźniej nie był zadowolony.

Julie odczekała, aż rozmowa ucichnie, po czym zapukała do drzwi. Usłyszała niezrozumiałe mruknięcie i otworzyła drzwi. Omiotła wzrokiem pokój. Ben stał za biurkiem z rękami założonymi na plecach i wyglądał przez okno. Bardzo często patrzył na rzekę.

- Tak, Benson?

- To ja, Ben.

Zesztywniał, ale się nie poruszył.

- Czego chcesz? - zapytał bardziej szorstko, niż zamierzał.

- Aż trudno uwierzyć, że naprawdę jestem tu mile widziana.

Powiedziała to tak słabym głosem, że Ben westchnął, odwrócił się do niej, spojrzał prosto w jej śliczne zielone oczy, w tej chwili takie smutne. Potem zwrócił uwagę na to, co znajdowało się poniżej i puls mu przyspieszył. Góra od kostiumu ledwie zakrywała opalone ciało Julie, a nisko zawiązany sarong dokładnie opinał biodra i ukazywał pępek. Nigdy w życiu nie widział nic bardziej erotycznego.

- Jestem, Ben?

- Oczywiście. - Zmusił się, żeby znów patrzeć wyłącznie na jej twarz.

Trochę się rozluźniła. Nie chciał, żeby się czuła nieproszonym gościem. Po prostu nie życzył sobie, by znalazła się zbyt blisko. Jednak pokusa zbliżenia się do niej

była silniejsza od mocnych postanowień i Ben wyszedł z biurka.

Julie przyglądała się, jak podchodzi do niej mężczyzna, który sprawił, że jej świat stanął na głowie i do tej pory nie wrócił na miejsce.

Ben zatrzymał się, a Julie podniosła głowę, żeby móc zobaczyć jego twarz.

- Dziękuję ci, Ben.

W milczeniu skinął głową. Milczeli oboje. Zwykle nie potrafiła utrzymać zamkniętej buzi, tym razem jednak zabrakło jej słów. Na szczęście w końcu coś jej przyszło do głowy.

- No więc masz zamiar zjeść ze mną kolację, albo coś w tym rodzaju, czy też zachowasz ten dystans, który ostatnio tak bardzo polubiłeś?

- Być może.

To nie była żadna odpowiedź.

- Wobec tego, na wszelki wypadek powiem ci, że codziennie o piątej możesz mnie zaprosić na koktajl.

- Zapamiętam. - Słaby uśmiech ledwie przeleciał przez jego twarz.

- Strasznie jesteś zgryźliwy jak na taką zwykłą miłą rozmowę. - Wreszcie przestała się denerwować. Patrzyła na Bena i czuła się tak, jakby patrzyła na kogoś, kogo zna od bardzo dawna. A ponieważ się nie odzywał, tylko na nią patrzył, spytała: - Pewnie nie masz wprawy, co?

- Raczej nie.

- No to możemy zacząć od początku - wyciągnęła do

niego rękę. - Cześć, jestem Julie DeLongpree, przyjaciółka twojej siostry.

Przyglądał się jej wyciągniętej dłoni. Wiedział, co by się stało, gdyby jej dotknął, gdyby poczuł jej ciepłe ciało nawet z okazji czegoś tak zwykłego jak uścisk dłoni. Chciałby więcej, a tego nie mógł dostać. Nie miał prawa nawet o tym marzyć.

- Bardzo śmieszne.

- To gorsze, niż myślałam - westchnęła Julie, opuszczając rękę. - Rozumiem.

- Julie - nie pozwolił jej odejść.

- Tak?

- W tym domu mieszkają sami mężczyźni. Wolałbym, żebyś chodziła ubrana. - Znow stał za biurkiem i przekładał jakieś teczki.

- To jest kostium kąpielowy, Ben.

- Tak się to nazywa? - Góra od tego kostiumu była mniejsza niż chusteczka do nosa. Co gorsza, Ben potrafił sobie dokładnie wyobrazić to wszystko, co zakrywał ten skrawek materiału.

- Owszem. Na dodatek dobrze w nim wyglądam. Gdyby było inaczej, tobym go nie nosiła. Poza tym każdy z twoich pracowników mógłby mnie zobaczyć, gdyby przypadkiem wyszedł z domu, więc przypuszczam, że tylko ty masz z tym problem.

Spojrzał na nią. Julie rozwiązała sarong, zarzuciła go sobie na ramiona, odwróciła się na pięcie i stukając obcasikami sandałów skierowała się do drzwi.

Ben jęknął w duchu. Dół jej kostiumu był tak samo skąpy jak góra. Szczupłe biodra i uda Julie kołysały się kusząco, kiedy wychodziła z jego gabinetu. Zamknął oczy, lecz widok powtarzał się w jego pamięci tyle razy, że Ben poczuł szum w uszach, a wszystkie jego mięśnie się napięły. Był tak podniecony, że spodnie by mu pękły, gdyby spróbował usiąść.

Odetchnął głęboko. Musiał się pogodzić z tym, że najseksowniejsza istota na całej ziemi będzie go wciąż podniecać.

Tych kilka tygodni to będzie istne piekło, pomyślał.

Julie stała na szczycie schodów i wyobrażała sobie, jak schodzi tymi schodami, ubrana w długą wieczorową suknię, do mężczyzny, czekającego na nią na dole. Otrząsnęła się z marzeń, wychyliła się, sprawdzając, czy nikt jej nie widzi, a kiedy okazało się, że jest sama, usiadła okrakiem na wyslizganej poręczy i zjechała na dół. Zeskoczyła lekko na podłogę, weszła do holu.

Ktoś odchrząknął.

Julie odwróciła się na pięcie. Kilka kroków od niej stał Willis z tacą. Uśmiechał się. Julie się zarumieniła, przyłożyła palec do ust, podeszła bliżej.

- To dla Bena, prawda? - spytała, ujrawszy na tacy komplet do kawy.

- Tak jest.

Wyciągnęła z butonierki Willisa ołówek i notesik, napisała coś na karteczce, po czym włożyła ją pod spodeczek.

Jeśli to go nie ruszy, to już tak zostanie, pomyślała.

Puściła oko do Willisa i skierowała się w stronę, z której dochodził cudowny zapach świeżego chleba.

- Panno Julie - odezwał się Benson, który, jak zwykle, pojawił się z nikąd - obiad czeka.

- Super - ucieszyła się Julie. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie spróbuje jednego z przysmaków produkowanych przez Jean Claudea.

Poszła za Bensonem do jadalni. Benson odsunął krzesło, a kiedy Julie usiadła, podniósł pokrywę jednego z półmisków. Ślinka napłynęła jej do ust, gdy poczuła zapach kurczaka w pomarańczach.

- Ben nie przyjdzie? - spytała, spoglądając wymownie na puste krzesło.

- Nie, panienko.

- No to kłapa - mruknęła.

Benson nalał wino do kieliszka, podał Julie serwetkę.

- Życzę smacznego - powiedział i zostawił ją samą.

Julie rozejrzała się po pustej jadalni.

- Cześć, cześć, cześć - powiedziała, jakby była swoim własnym echem.

Nie cierpiała jeść w samotności. Śmiertelnie się przy tym nudziła, więc zawsze jadła za szybko. Czuła się też trochę urażona, że Ben nie chciał jej towarzyszyć. A przecież sama go zaprosiła i to będąc gościem w jego własnym domu.

Wzięła talerz, sztućce, serwetkę i poszła do kuchni. Stała w progu, patrząc na pulsujące tam życie.

Kuchnia w Nine Oaks została zmodernizowana tak skutecznie, że Julie nie miała pojęcia, do czego służy połowa zainstalowanych tam nowoczesnych urządzeń, zwłaszcza że sama korzystała prawie wyłącznie z mikrofalówki.

Kilku służących ustawiło talerze na granitowym blacie. Jedząc, oglądali telewizję. Julie rozpoznała Jean Claude'a, Willisa i pana Dobbsa, który zajmował się psami i stajniami. Dwóch pozostałych nie znała, ale - sądząc po stroju - pracowali w ogrodzie.

- Mogłabym żyć u twoich stóp, Jean Claude - odezwała się Julie. - Rzuciłbyś mi resztki, a i tak byłabym ci do zgonnie wdzięczna.

Jean Claude popatrzył na nią. Właśnie wyjmował z pieca gorący chleb.

- Jak się miewa moja panna Julie? - Jean Claude powitał ją uśmiechem.

- Doskonale, dziękuję. Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, że się do was przyłączę? - Ruchem głowy wskazała marmurowy blat. - Nudno jest jeść w towarzystwie kompozycji kwiatowej.

- Prosimy, prosimy - odpowiedzieli chórem mężczyźni, a Willis zerwał się, wziął od niej talerz, postawił go na blacie.

Julie przysiadła na stołku pomiędzy mężczyznami.

- Ucieszyłem się, jak mi powiedzieli, że przyjedzie pani do nas z wizytą - odezwał się Jean Claude.

- Założę się, że przeżyłeś szok - powiedziała, krojąc

kurczaka. Był nadziany mięsem krabów i krewetkami, a Julie dosłownie ślinka ciekła.

- Owszem. - Jean Claude się uśmiechnął. - nawet ogromny.

Jean Claude pochodził z Nowego Orleanu, był wysoki, szczupły i przystojny, pomimo sześćdziesiątki na karku. Było coś podniecającego w mężczyźnie, który umie gotować, a Jean Claude był najlepszym kucharzem w całym stanie.

- Suzannah mnie zaprosiła. Moim zdaniem, zaszantażowała Bena.

- Panna Suzannah to mocna kobieta. Tak uważam.

- Namolna - zgodziła się Julie.

- Bardziej niż pani?

- Ma drugie miejsce, tuż za mną. - Julie się uśmiechnęła. Posłała mu błagalne spojrzenie. - Dasz spróbować chleba? -

- Co jest? Obiad nie smakuje?

- Kurczak jest rewelacyjny, ale ten chleb... Poezja.

Jean Claude się uśmiechnął, ukroił kawałek chleba, posmarował masłem.

- Wielkie dzięki. Gotowa byłam błagać cię na klęczkach. - Julie wbiła zęby w świeżutki chleb. Mogłaby przysiąc, że znalazła się w kulinarnym raju. - To jest boskie, Jean Claude!

Stary kucharz uśmiechnął się, pokroił i zapakował resztę chleba, jednocześnie przedstawiając jej ludzi, których jeszcze nie znała. Telewizor mruczał cicho.

Po chwili rozmowa się rozkręciła, zwłaszcza gdy Jean Claude zaczął wspominać szkolne figle Julie i Suzannah.

- Wszedłem do kuchni, a one siedziały przed otwartą zamrażarką i zajadały się lodami. Po łyżeczce z każdego smaku! - Jean Claude puścił do niej oko.

- Myśmy tak przeżywały dwóje z semestralnej pracy z historii. Potem przez dwa dni bolał mnie żołądek, a biedna Suzannah poczuła wielką potrzebę biegania. - Wszyscy ryknęli śmiechem, wyobrażając sobie zniszczenia. - Nie wyglądało to ładnie.

- Trzeba było się więcej uczyć - powiedział Jean Claude.

- Jasne, tak by było najlepiej.

- A w ogóle zdałaś tę historię? - rozległ się głos od progu i wszyscy zwrócili głowy w tamtą stronę.

Ucichli na widok Bena opartego o framugę drzwi. Willis wstał, ale Julie delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu, dając znak, by usiadł z powrotem.

- Owszem - odparła na jego pytanie. - Z bolącym żołądkiem nie miałam zbyt wiele do roboty; miałam czas, żeby się pouczyć. Ale twoja siostra na koniec roku dostała ledwie trójczynę.

- Skarżypyta - Ben się uśmiechnął.

- Od czego ma się przyjaciół? - Julie się roześmiała. -.. Będziesz tak stał, czy się do nas przysiądziesz?

Ben zrozumiał, że to wyzwanie. Nie spuszczać oka z Julie, oderwał się od framugi, wszedł do kuchni. Jej tryumfalny uśmiech potwornie go irytował.

- Czy zje pan teraz obiad, sir? - zapytał Jean Claude.

- Jasne - odpowiedziała za niego Julie, przysuwając Benowi stołek. Chwilę się wahał, ale w końcu usiadł.

Jean Claude patrzył na niego wyczekująco, więc Ben skinął głową. Był zbyt zajęty bijącym od Julie ciepłem i zapachem perfum, żeby się odzywać. Odurzała go, upajała. W krótkiej dzinsowej spódniczce i czerwonej bluzce z dużym dekoltem wyglądała świeżo i wyjątkowo atrakcyjnie.

Liścik, który włożyła mu pod filiżankę z kawą, nie zdołał wyciągnąć go z gabinetu, dopiero gwar głosów i śmiech niosący się korytarzem sprawiły, że opuścił swoją samotnię. Już bardzo dawno nie słyszał niczyjego śmiechu. Przez kilka minut stał w progu, przyglądając się, jak Julie wciąga wszystkich obecnych do rozmowy. Mówiła swobodnie, co chwilę się uśmiechała i wyglądała, jakby była u siebie w domu. Raczej nie zdawała sobie sprawy, że jest jego główną atrakcją. Od pięciu lat nie było w Nine Oaks żadnej kobiety prócz Suzannah. Ben pomyślał o Lily, ale zaraz odepchnął tę myśl. Nie chciał sobie psuć humoru.

Jean Claude podał mu talerz i Ben zabrał się do jedzenia.

- Widziałem, jak pani nurkuje, panno Julie - odezwał się Willis. - Jest pani rewelacyjna.

- Dzięki, Willis.

Przez moment jej spojrzenie zatrzymało się na Benie, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”. Ale Ben nie mógł myśleć o niczym innym jak tylko o jej seksownym marszu przez jego gabinet, kiedy szła, kręcąc niemal nagimi pośladkami. Przez cały dzień starał się wymazać

z pamięci ten widok, ale mu się nie udało. Na pewno nie trzeba mu było tego jeszcze raz przypominać. Jego ciało pragnęło tej kobiety. Niemal krzyczało, kiedy Ben się do niej zbliżał. Teraz, kiedy siedział obok niej, kiedy muskał ramieniem jej ramię, w jego żyłach płonął żywy ogień. Dobrze, że znajdowali się wśród ludzi. Nie mógłby ręczyć za siebie, gdyby został sam na sam z Julie.

- Na studiach byłam w drużynie uniwersyteckiej - opowiadała Julie. - Nawet w trzech. Biegałam, pływałam w sztafecie na pół kilometra i skakałam do wody. Zawsze musiałam być w ruchu.

- Też mi nowina - zakpił Ben.

- No właśnie - wtrącił się Jean Claude. - Dziwię się, że może pani usiedzieć na miejscu dość długo, żeby cokolwiek napisać.

- To ty wiesz? - zdziwiła się Julie.

- Czytamy gazety, bebe - odparł Jean Claude.

Julie zeszywniała. Ben jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś tak prędko zmienił nastrój. Pomyślał, że ta historia z Randallem Kreegiem musiała być dla niej bardzo nieprzyjemna.

- No tak - Julie rozejrzała się po zebranych wyraźnie zakłopotana - wygląda na to, że wyszło sztydło z worka.

Dźwięk telewizora wdarł się w ciszę, która zapadła w kuchni. Nadawano skrót wiadomości. Ben usłyszał nazwisko Julie, spojrzał na ekran.

Przypominano aresztowanie Kreega i wspomniano, że wszystko zainscenizowała Julie według własnego scenar-

riusza, że zrobiła to sama lub z czyjąś pomocą, po to, by skompromitować znanego biznesmena.

Ben popatrzył na Julie. Zamarła, skupiona na ekranie telewizora.

- Julie - powiedział, ale nie zareagowała.

Widziała tylko Kreega. Opadły ją wspomnienia, wróciło przerażenie, jakie ją ogarnęło, kiedy zorientowała się, że Kreeg grzebał w jej rzeczach, że był w jej samochodzie, a potem nawet w domu.

Oddychała coraz szybciej, ręce jej się trzęsły.

- Julie - powtórzył Ben.

Spojrzała na niego. Miała oczy zaszczutego zwierzęcia.

scandal.oua

ROZDZIAŁ TRZECI

Ben dotknął jej ramienia. Wzdrygnęła się, zadrżała, rozejrzała się dookoła w panice, jakby szukała drogi ucieczki.

Ben pochylił się nad nią, położył jej dłoń na ramieniu.

- Jesteś tu bezpieczna, kochanie - szepnął.

Julie zamruwała powiekami, westchnęła i spojrzała na niego. Była taka drobna i krucha, że Ben najchętniej osłoniłby ją przed światem własnym ciałem. Jej strach ulotnił się tak samo szybko, jak się pojawił.

- Trochę mi głupio - mruknęła Julie, rumieniąc się jak pensjonarka.

- W porządku. - Ben pogłaskał ją po rękę.

Julie przytrzymała jego dłoń, popatrzyła mu w oczy. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, co robi, więc puściła dłoń Bena i rozejrzała się po zebranych.

- Wiem, że go zamknęli, ale...

- Proszę mi wybaczyć, panienko - powiedział Jean Claude i wyłączył telewizor.

- Daj spokój, Jean Claude, to nie twoja wina. Jestem trochę znerwicowana, to wszystko. - Roześmiała się sztucznie, wzięła widelec i włożyła sobie do ust kawałek kurczaka.

Ben nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś w jednej chwili był śmiertelnie przerażony, a w następnej całkiem spokojny. A może ona tylko udawała, żeby ich wszystkich uspokoić? I co takiego zrobił jej ten łobuz, że nadal panicznie się go boi?

- Nie zdoła cię skrzywdzić, kiedy jesteś tutaj - zapewnił Ben. - Nikomu się to nie uda.

- Właśnie dlatego tu jestem - Julie się do niego uśmiechnęła.

Jednak Ben zauważył, że uśmiech jest wymuszony, dostrzegł w jej oczach cień. Miał ochotę podwinąć rękawy i raz na zawsze rozprawić się z jej strachami. To go wystraszyło, przypomniało, że mądrzej będzie trzymać się z dala. Mimo to nie ruszył się z miejsca. Nie był w stanie.

Jean Claude odszedł od stołu, żeby schować chleb do spiżarni i pozostali służący też się oddalili.

- Ja to potrafię wypłoszyć ludzi - zażartowała Julie, rozglądając się po opustoszałej kuchni.

- To raczej ja ich wystraszyłem. Nie są przyzwyczajeni do jadań posiłków w moim towarzystwie. - Ben bez wahania wziął winę na siebie. - Czy już dobrze się czujesz?

- Jasne, wszystko w porządku - odparła radośnie i zaczęła zbierać talerze ze stołu, żeby broń Boże nie dostrzegł w jej oczach prawdziwej odpowiedzi. Nie mogła zapomnieć, że Kreeg może sobie pozwolić na niebotyczną kaucję i w każdej chwili wyjść z więzienia. To ją przerażało.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego - Ben ruchem

głowy wskazał talerze. - To nie twoja kuchnia, nie powinnaś naruszać jej spokoju.

Jakby na potwierdzenie tych słów wrócił do kuchni Jean Claude i wyrzucił ich oboje.

- A nie mówiłem? - odezwał się Ben, ledwie znalazł się za progiem.

Julie pokazała mu język, podziękowała uśmiechem Jean Claude'owi i także wyszła z kuchni.

Ben wyprzedzał ją o kilka kroków, więc zatrzymała się w holu. Miała wrażenie, że już o niej zapomnieli. Najpewniej tak właśnie było, bo wszedł do biblioteki, zamykając za sobą drzwi. Nawet się nie obejrzał.

Julie zastanawiała się, kiedy i dlaczego jego serce zmieniło się w twardy głaz. Ale zaraz przypomniała sobie, jak opiekuńczy był wobec niej w kuchni. Wciąż czuła na ramieniu dotyk jego ciepłej dłoni.

A więc z tym głazem to nie do końca prawda, pomyślała. Tylko czemu on wciąż ucieka? Dlaczego nie chce mieć ze mną nic wspólnego? Co sprawiło, że zamknął się w Nine Oaks?

Znalazłszy się znów za biurkiem, Ben skupił się na pracy. Przeczytał wszystkie raporty, zadzwonił do kilku maklerów i jednego dyrektora fabryki; Robił wszystko, żeby zająć myśli czymkolwiek, byle nie Julie. Nie przyszło mu to łatwo, zwłaszcza że była w pobliżu i w każdej chwili mogła się zjawić w jego gabinecie.

Jednak koncentracja już uleciała. Czyżby tak miały wyglądać następne tygodnie?

Zbankrutuję, jeśli nie będę uważał, pomyślał, kręcąc głową i zabierając się do pracy.

Jakiś czas później odezwał się brzęczyk interkomu.

- Sir - usłyszał głos Bensa. - Panna DeLongpre wyszła na dwór.

Po głosie można było poznać, że Benson jest trochę zdenerwowany.

- Ma wolną rękę, Benson.

- Tak, sir, ale jest już po zmierzchu. Psy są na terenie.

Ben zaklął, zerwał się z miejsca, otworzył drzwi na taras i wybiegł na dwór.

Dobermany pędziły po bocznym trawniku, warcząc i obnażając kły. W sporej odległości zauważył jakąś postać.

Zawołał ją i Julie się odwróciła. Pomachała mu ręką. Ben puścił się biegiem. Wiedział, że jeśli psy dopadną jej przed nim, zerwą ją na strzępy. Były przyuczone do obrony.

- Julie, uważaj, psy!

Zauważyła biegnące do niej psy, zamarła. Przerażony Ben patrzył, jak na nią skoczyły, powaliły na ziemię i nie pozwoliły się ruszyć.

Ben przywołał psy, ale nie zareagowały, więc złapał je za obroże, odciągnął.

W tej chwili usłyszał śmiech Julie. Psy wcale jej nie gryzły, tylko lizały po twarzy!

- No, dość tego - mówiła, chichocząc. - Ważycie chyba z tonę. Zmykajcie.

Ale psy jej nie odstępowały. Łasiły się i popiskiwały, machając ogonami.

Tym razem Ben wydał komendę. Obydwa dobermany odsunęły się od Julie, usiadły tuż obok niej. Ben przesunął dłońmi po mokrej twarzy Julie, po jej ramionach, po gołych nogach.

- Potrzebowałeś pretekstu, żeby móc mnie dokładnie obmacać? - zażartowała Julie.

- Nie pogryzły cię? - zapytał, ignorując jej docinki.

- Zwariowałeś? One się ze mną witały.

- Witały? - ryknął Ben.

- Tak. I pewnie chciały to. - Wyciągnęła rękę, w której trzymała pokruszone teraz psie herbatniki. - Scooby chrupki.

Ben przykucnął, przesunął dłonią po włosach. Ledwie odzyskał oddech, zaraz się na nią wydarł.

- Jak możesz być taka cholernie głupia!

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Te psy mogły cię rozedrzeć na strzępy! Mogły cię zabić!

- Gdybym uciekała, to pewnie tak. Właśnie dlatego stałam w miejscu. - Dopiero teraz mu się przyjrzała. Dyszał ciężko i miał taką minę, jakby sam chciał ją rozedrzeć na strzępy. - Zapomniałeś, że obie z Suzannah spałyśmy z tymi psami, kiedy były malutkie. One mnie pamiętają.

- To było bardzo dawno temu. - Ben wstał i pomógł

wstać Julie. Chwycił ją za rękę i przez chwilę tylko na nią patrzył. „Mogły ją poranić”, huczało mu w głowie i gdzieś w piersi. Wolałby umrzeć niż zobaczyć ją poturbowaną. Bezwiednie popatrzył na jej usta. Soczyste, pomalowane różową szminką, kuszące...

Ich spojrzenia się spotkały i serce Bena mocniej za-
biło. Pomyślał, że ta kobieta ma nad nim wielką władzę. Czuł się przy niej jak dziki zwierz zbyt długo przebywający w głuszy, czuł dojmujący głód, obezwładniające podniecenie. Pragnął jej. Nigdy żadnej kobiety nie pragnął tak bardzo. Wiedział o tym dziewięć lat temu i przypomniał sobie dzisiaj.

Julie uniosła głowę, wciąż patrząc mu w oczy. Ben poczuł, że tonie. Pochylił się, zbliżając usta do jej ust. Dzielił ich tylko oddech, kiedy dotarło do niego, co zamierza zrobić. Otrzeźwiał w mgnieniu oka. Wyprostował się i nawet cofnął się o krok.

- Dużo ryzykowałeś - powiedział. - Mogły cię nie poznać.

Julie nie rozumiała, dlaczego się odsunął, choć ona tak bardzo chciała, żeby ją pocałował. Zresztą wiedziała, że on też tego chciał. Nie powinien był tak się z nią drażnić. Ani z nią, ani ze sobą.

- Wcale nie. To ich ulubione - wyciągnęła do niego dłoni z psimi chrupkami. - Suza mi powiedziała, że te psy nadal są u ciebie, więc zabrałam ze sobą ich przysmak. Poza tym już raz się z nimi widziałam, zaraz po wyjściu z basenu.

- Trzeba mnie było uprzedzić.

Psy wciąż siedziały w miejscu, przekrzywiając głowy i przyglądając się ludziom.

- Ciekawe, kiedy miałam to zrobić? Nie wychodzisz z tej swojej jaskini i nikogo do niej nie wpuszczasz.

- Jestem bardzo zajęty - tłumaczył się Ben, choć przecież nie musiał tego robić. - Poza tym jedliśmy razem obiad. Miałaś okazję powiedzieć mi o psach.

- Nie przyszło mi do głowy, że to dla ciebie ważne. - Julie cmoknęła na psy. Przybiegły do niej, przypadły do jej stóp. Rzuciła każdemu po jednym herbatniku, a psy złapały je w powietrzu. W mgnieniu oka zjadły przysmak i teraz wylizowały okruszki. - Naprawdę są przerażające.

-I o to chodzi.

- Mają trzymać ludzi z daleka od Nine Oaks?

- No właśnie.

- A mnie się zdaje, że trzymasz je po to, żebyś ty sam nie mógł stąd wyjść.

- Ja mogę stąd wyjść w każdej chwili - skłamał Ben - a że nie chcę, to całkiem inna sprawa. I bądź łaskawa nie wtrącać się w moje życie osobiste.

- Jakie życie osobiste? Ty nie masz żadnego życia. Jesz, śpisz, pracujesz... Pan Dobbs twierdzi, że od lat nie jeździsz konno, nie żeglujesz, nawet nie grasz w tenisa. Na litość boską, Ben, przez pięć lat ani razu nie opuściłeś tej posiadłości!

Oczy mu pociemniały, rzucały błyskawice.

- To nie twoja sprawa - warknął. Odszedł, strzelając palcami, a psy pobiegły za nim.

- Czy ty aby nie przesadzasz z tym swoim odosobnieniem? - zapytała Julie, starając się za nim nadażyć.

- Ja decyduję o swoim życiu. Nikt więcej.

- Nie najlepsze te twoje decyzje. Aż żal na ciebie patrzeć.

- To nie patrz. Zostań w swojej części domu albo wyjedź.

- W swojej części domu? Przecież ten dom jest wyłącznie twój.

- Masz do dyspozycji całe wschodnie skrzydło - burknął, zatrzymując się tak gwałtownie, że Julie omal na niego nie wpadła. - Możesz chodzić, gdzie chcesz, i robić, co chcesz. Tylko nie zbliżaj się do przystani.

- Zapomniałeś dodać, że do ciebie też mam się nie zbliżać. - Julie chwyciła go za rękę, ale strząsnął ją z siebie. - Ben! Popatrz na mnie!

Popatrzył.

- Nie jestem twoim przeznaczeniem, Julie - powiedział takim tonem, jakby zamierzał ją ugryźć. - I lepiej nie próbuj mnie zmieniać.

- Nawet o tym nie pomyślałam.

- Doskonale. - Odwrócił się na pięcie. Zamierzał odwalić się od niej, i to szybko.

- Dziewięć lat temu byłeś samolubnym idiotą i od tamtej pory nic się nie zmieniło - zawołała za nim Julie.

Stanął jak wryty, odwracał się powoli.

- Nie chciałem ci sprawić przykrości - powiedział cicho, patrząc jej w oczy.

- Ale sprawiłeś. Zachowałeś się tak, jakby nic się nie stało, bo chciałeś, żebym stąd zniknęła.

Ben milczał. Tylko na nią patrzył.

- Mam rację? - dopytywała się Julie. - A może mi się to przyśniło?

- Masz rację - przyznał niechętnie Ben.

- Wiem, że to było dawno, ale chciałabym zrozumieć, dlaczego tak paskudnie mnie wtedy potraktowałeś.

- Ponieważ ten jeden pocałunek pozwolił mi zrozumieć, jak bardzo do siebie nie pasujemy - odparł, wpatrując się w nią.

- Och, nie łzyj, Blackmon - Julie zwróciła oczy ku niebu. - Gdyby to potrwało jeszcze pięć minut i gdybyśmy byli gdzieś całkiem sami, wylądowalibyśmy w łóżku. Czy można bardziej do siebie pasować?

- Seks to nie wszystko, Julie - mruknął nieszczerze.

Uprawiał seks z Lily, ale to nie wystarczyło do utrzymania ich małżeństwa. Może dlatego, że wszystko, co robili, nie było ani w połowie takie podniecające, jak tamten jedyny pocałunek z Julie.

- Zgoda, ale gdybyś dał nam szansę... Zresztą, nieważne - westchnęła. - Zapomnij, że cokolwiek mówiłam. To stare dzieje. Było, minęło...

- Najwyraźniej nie dla ciebie.

- Nie trzymam się kurczowo przeszłości, szkoda energii. - Nie chciała się przyznać, że czasami myślała o tym, co by było, gdyby... - Nie mogę nic zmienić, więc po co sobie zawracać głowę?

Ben żałował, że nie może zmienić tego, co się stało pięć lat temu. Żałował, że próbował się zmusić do pokochania Lily, że nie rozwiódł się z nią od razu. Mógłby teraz żyć normalnie, jak wszyscy, pewnie nawet mógłby sobie pozwolić na miłość.

- Przepraszam cię, Julie.

- W porządku - powiedziała. Dużo by dała, żeby się dowiedzieć, co się kryje za jego znękaną miną. - Lepiej późno niż wcale.

- Naprawdę się nie gniewasz?

- Naprawdę - odparła bez wahania. - Poza tym obiecuję trzymać się swojej części domu, nigdy więcej nie wchodzić do twojego gabinetu i pod żadnym pozorem nie wtrącać się w twoje życie. Zadowolony?

Nie czekając na odpowiedź, pomaszerowała do domu. Doberman y pobiegły za nią.

Świetnie, pomyślał zirytowany Ben. Najpierw obłąskała moją służbę, a teraz jeszcze psy.

Patrzył, jak odchodziła, zła jak osa. Miała do tego prawo. Skąd mogła wiedzieć, że on tylko stara się ją chronić przed potworem, jakim się stał. Musiał. Nie chciał, żeby poznała prawdę, bo natychmiast by uciekła, nie oglądając się za siebie.

Po drodze do pokoju minęła Bensona. zaproponował jej kieliszek przed snem, ale odmówiła. Alkohol tylko pogłębiał bezsenność, chyba że zalewała się w trupa. Nie brała też leków nasennych, bo przerażała ją możliwość uzależnienia.

Zamknęła za sobą drzwi, rozejrzała się po apartamencie, który Ben jej wyznaczył. Składał się z saloniku z wyjściem na balkon, łazienki, z której nie chce się wychodzić i sypialni w stylu sprzed wojny secesyjnej.

Przeszła przez pokój, zasiadła w wielgachnym fotelu, rzuciła pantofle i oparła bosc stopy na przepastnej otomanie. Wzięła książkę, którą już dawno zamierzała przeczytać, otworzyła, przrzuciła kilka kartek. Niestety, nawet ulubiony autor nie był w stanie jej zainteresować.

Wstała, poszła do łazienki. Długo stała pod gorącym prysznicem, potem nałożyła maseczkę, pomalowała paznokcie stóp, a na koniec włożyła powiewny szlafroczek i mięciutkie kapcie z króliczymi uszami, które zawsze ją rozśmieszały. Podeszła do drzwi balkonowych, otworzyła je na oścież. Wiatr od rzeki był ciepły i pełen zapachów. Potargał jej włosy, poszarpał szlafrok.

Julie usiadła na wiklinowym krzesełku, zadowolona, że poręcz balkonu jest na tyle niska, żeby można widzieć całą przestrzeń aż do miasta. W dali lśniły światła, księżyc i gwiazdy odbijały się w wodzie. Reflektory auta jadącego mostem zabłyśły jak latarnia morska. Życie było tuż tuż, ale ona miała go serdecznie dosyć. Co najmniej na dziesięć lat.

Pozwoliła myślom płynąć swobodnie, wyobraźni tworzyć scenariusze dla ludzi, których nie widziała. Była w samym centrum sceny dziejącej się nigdzie, gdy usłyszała jakąś szamotaninę. Wstała z krzesełka, wychyliła się za balustradę. Reflektory oświetlały teren, pnie i gałęzie

drzew wyglądały jak zdeformowani starzy ludzie gotowi pochwyć natrętnych gości. Nikogo nie zobaczyła.

Powrócił strach, przypląnęły głęboko ukryte wspomnienia. Kreeg. Dziwne dźwięki, róża na stole - znak, że on jest blisko, ale ona go nie zobaczy, chyba że on tego zechce...

Natychmiast przegnała te wspomnienia, ale na wszelki wypadek wzięła doniczkę, gotowa rzucić nią w tego, kto się ukrywał na dole. Znów usłyszała ten dźwięk i dopiero wtedy przypomniała sobie, gdzie się znajduje.

Nine Oaks, dom bezpieczny jak więzienie.

Odetchnęła głęboko, przypomniała sobie, że po terenie biegają psy. Szczekałyby, gdyby na dole był ktoś obcy. A Kreeg jest za kratkami. Miała wielką ochotę zadzwonić na policję, zapytać, czy przypadkiem nie uciekł. Odstawiła doniczkę na miejsce. Była wściekła na siebie za te paranoiczne odruchy.

Wróciła do pokoju, dokładnie zamknęła drzwi balkonowe i położyła się do łóżka. Zasnęła prawie natychmiast.

Minęła północ, kiedy Ben wyszedł z gabinetu. Na dźwięk szybkich kroków zatrzymał się, odwrócił. Benson biegł po schodach. Był błady jak ściana.

- Co się stało, Benson?

- Panna Julie, sir. Słyszałem. Przez przewody wentylacyjne.

- Co słyszałeś?

Ale zaraz zrozumiał. Po korytarzach niósł się zduszony krzyk przerażenia.

Ruchem dłoni odprawił Bensona. Lokaj się zawahał, lecz w końcu wrócił do swego pokoju.

Ben dokładnie wiedział, który pokój zajmuje Julie. Pobiegł do wschodniego skrzydła, nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Słyszał jej płacz, błaganie... Naparł ramieniem na drzwi. Ustały. Wbiegł do środka.

Siedziała skulona na łóżku, trzymając się kolumny podtrzymującej baldachim, jakby to był maszt tonącego statku. Zacisnęła powieki, zbiegające palce kurczowo trzymały się drewnianej kolumny. Ben podbiegł do łóżka, wypowiedział jej imię raz, potem drugi i jeszcze. Nie zareagowała, ale kiedy jej dotknął, rzuciła się na niego z pazurami.

- Obudź się, Julie! To tylko sen! Zbudź się!

Ben chwycił ją za ramiona, oderwał od kolumny, położył na łóżku. Walczyła z nim, więc położył się na niej, żeby przytrzymać ją nieruchomo, po czym ujął w dłonie jej twarz.

- To tylko sen, skarbie - szepnął jej do ucha. - No już, obudź się.

Jęknęła cichutko, a potem zamrugnęła powiekami. Odychała szybko i ciężko, patrzyła na niego jak na obcego człowieka.

- To ja, Ben. Miałaś koszmarne sen. - Uwolnił ją od swego ciężaru, położył dłoń na jej ramieniu. - To tylko sen, Julie. Już nikt nigdy nie zrobi ci krzywdy.

Patrzyła na niego ze łzami w oczach, a potem wtuliła twarz w ramię Bena. Płakała.

Walka, jaką ze sobą toczył od rana, została przesądzona. Ben otoczył Julie ramionami, przytulił do siebie i pociesząco głaskał po plecach. Starła się powstrzymać łzy, więc mocniej ją do siebie przytulił. Mógł tylko mieć nadzieję, że jego własne ciało nie zechce go zdradzić. Mógłby spędzić resztę życia, tuląc ją do siebie.

Poczuł jak napięcie opadło, jak ciało Julie staje się miękkie, normalne. Po chwili całkiem zmiękła, jak szmaciana lalka.

- Przepraszam - szepnęła zażenowana, wciąż wtulona w ramię Bena.

- Jak długo to trwa?

- Wiele tygodni.

- Co on ci zrobił? - spytał, gotów zadusić drania gołymi rękami.

- Wołałabym tego nie wspominać. Przyśniła mi się wersja w kolorze.

Zrozumiał i nie nalegał. Patrzył, jak Julie bawi się guzikami jego koszuli. Żałował, że ich nie rozpięła.

-Julie?

-Tak?

- Już w porządku?

- Tak. Po prostu wspaniale - zakpiła.

Przesunęła palcem po jego wargach. Ben zamknął oczy, stłumił jęk. Czuł jak ściany, które tak pieczołowicie wznosił wałą się w gruzy. Walczył. Jego mózg podsuwał coraz to nowe przyczyny, dla których nie wolno ulec pokusie.

Odsunął się, ujął jej doń, przytrzymał. Musiał wyjść, choć bardzo chciał zostać.

Pragnienie i obowiązek walczyły ze sobą o lepsze, gdy Julie wyszeptała jego imię. Nie myśląc o konsekwencjach, Ben przywarł do jej ust.

scandalous

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wiedział, że to szaleństwo, lecz przytulił ją do siebie, a Julie go nie odepchnęła. Co gorsza, tuliła się do niego namiętnie, rozpalała go coraz bardziej.

Ta kobieta miała nad nim większą władzę, niż on sam nad sobą. Zwłaszcza że tak długo na nią czekał.

- Och Ben - szepnęła. - Nic się nie zmieniło. Zupełnie nic.

Odskoczył od niej, patrzył na jej zdumioną minę. On wiedział, że zmieniło się wszystko. Nie był wart Julie, nie miał prawa jej posiadać, choć ciało się tego domagało. Musiał być silniejszy niż pokusa, mocniejszy od własnego pożądania.

- Przepraszam - jęknął głucho. - Wybacz mi.

- Słucham?

Powinien się domyślić z jej tonu, że zaraz wybuchnie, powinien się ewakuować, ale nie mógł się ruszyć. Siedział na brzegu łóżka z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Nie powinienem był tego robić.

- Pewnie to nie ma znaczenia, ale nie robiłeś tego sam - powiedziała, oddychając z trudem.

Wciąż była rozpalona, choć Ben już jej nie dotykał.

A przecież tak bardzo go pragnęła. Tylko jego. Minęło dziewięć lat, lecz w tej sprawie nic się nie zmieniło. Nawet to, że Ben znów się wycofał, znów uciekał. Tak samo jak wtedy. Wprawdzie jeszcze siedział przy niej, ale tylko ciałem, bo duchem był zupełnie gdzie indziej.

- Wyjdź, Ben. Wyjdź stąd natychmiast!

Spojrzał na nią. Wyglądała cudownie, zagrzebana w stertę poduszek, otulona koronkową pościelą. Wciąż jeszcze miała rumieńce, ramiączko nocnej koszuli zsunęło się w dół, odsłoniły się jędrne piersi, kusząc różnym pięknem.

- Nie zrobisz mi tego po raz drugi - powiedziała już spokojniej.

Ben wstał, podszedł do drzwi, ale nie wyszedł od razu. Odwrócił się.

- Wybacz mi - powtórzył z ręką na kłamce.

- Skończ z tym przeproszaniem! - wrzasnęła Julie. - Dziękuję, że wyciągnąłeś mnie z koszmarne go snu, ale następnym razem lepiej zostaw mnie samą.

Jej słowa zraniły go jak ostrze noża. Nie miał do niej o to żalu, bo w końcu sam był sobie winien. Niepotrzebnie się do niej zbliżał.

Muszę się pilnować, pomyślał. Nie wolno mi się zapominać.

- Rano każę naprawić drzwi - mruknął i prędko wyszedł.

Powlókł się do swojej sypialni. Ciało wciąż pragnęło Julie, ale mózg starał się je przekonać, że to nieprawda.

Julie patrzyła na zamknięte drzwi. Oczy miała mokre od łez. Chciała podbiec do tych przeklętych drzwi i zamknąć je na klucz, a jednocześnie miała nadzieję, że Ben jednak wróci i skończy to, co zaczął.

Niech go diabli porwą, pomyślała, waląc pięścią w poduszkę. Czemu on ciągle przeprasza?

Zamknęła oczy. Chciała zasnąć, ale raz rozbudzone pożądanie nie pozwalało. A przecież nie powinna powtarzać błędu sprzed lat, nie mogła znów zakochać się w Benie bez wzajemności.

A przecież wszystkich swoich mężczyzn porównywała do niego, a wszystkie pocałunki do tamtego jednego. Niestety, żaden mężczyzna nawet nie umywał się do Bena.

Odrzuciła kołdrę, wstała. Otworzyła okno balkonowe, wyszła na taras. Oparła się o poręcz i patrzyła na rzekę, w której odbijał się sierp księżyca. Wiatr niósł zapach jaśminu i glicynii. A Julie myślała o Benie.

Zachowywał się co najmniej dziwacznie. Najpierw nie chciał jej gościć w swoim domu, a kiedy wreszcie się na to zgodził, nie życzył sobie jej widzieć. Za to przy pierwszej okazji dał upust namiętności. No, nie do końca. Jakby coś powstrzymywało, ciągnęło do tyłu.

Czyżby wspomnienie zmarłej żony nie dawało mu spokoju? Musiał bardzo kochać Lily, skoro po jej śmierci zdecydował się na odosobnienie. I wszystkiego sobie odmawia. Dlaczego?

Uznała, że tej nocy nie uda jej się rozwiązać zagadki. Wróciła do pokoju, usiadła z książką w fotelu. Wiedziała,

że już nie zaśnie i tym razem była z tego zadowolona. Nie chciała, żeby Kreeg znów nawiedził jej sen.

Ben siedział przy biurku. Na jego brzegu stała taca z nie-
tkniętym śniadaniem. Cały ranek robił notatki i planował
rozmowy. Był okropnie głodny, ale nie miał czasu na jedze-
nie. Musiał pracować bez wytchnienia, bo gdy tylko znalazł
wolną chwilę, od razu przypominała mu się Julie.

Właśnie kończył rozwiązywać ostatni problem, kiedy
ktoś zapukał do drzwi.

- Nie teraz, Benson.

Mimo to drzwi się otworzyły.

- Chyba jasno się wyraziłem - powiedział Ben, nie
podnosząc głowy znad swojej pisaniny.

- Nie jestem Bensonem, więc chyba mogę wejść.

Wszystko w nim zamarło. Popatrzył na nią ostrożnie,
jakby się bał, że oślepie.

W obcisłych dżinsach i skapej bluzeczce bez rękawów
wyglądała bardzo pociągająco. Ben omal nie stracił pano-
wania nad sobą, które z takim trudem odzyskiwał przez
pół nocy.

- Co tutaj robisz?

- Wchodzę, a teraz siadam - wyjaśniła Julie, siadając
w fotelu. Postawiła na jego biurku kubek z kawą i talerzyk
z bułką, ruchem głowy wskazała pełną tacę. - Nie jadłeś?

- Jak widać. Zrozum, Julie, mam mnóstwo pracy.

- Zrób sobie przerwę. Siedzisz tu od wpół do szóstej.

Skoro o tym wie, to znaczy, że ona też nie spała, po-

myślał Ben. Czyżby ten pocałunek dręczył ją tak samo jak mnie?

- Ty już nie poszłaś spać? - zapytał dla pewności.

- Nie.

Julie całą noc myślała o Benie, co oznaczało, że nie myślała o swoich problemach. Na przykład o tym, jak to się stało, że mężczyzna, z którym spotkała się zaledwie trzy razy, miał taką obsesję na jej punkcie, że wdarł się do jej samochodu, do domu, a w końcu do sypialni.

Nie chciała o tym myśleć, wołała się zająć Benem.

- Masz zamiar przesiedzieć tu cały dzień? - spytała, moszcząc się wygodnie w antycznym fotelu. Czowała się tu jak u siebie w domu.

- Zazwyczaj tak robie.

- Po południu też? I wieczorem? Bo widzę, że śniadania też jadasz tutaj. - Podsunęła mu talerz, ugryzła kawałek swojej bułki.

- Czasami. - Ben w końcu zdecydował się zjeść grzanekę.

- A więc jesteś więźniem we własnym domu.

- Oboje jesteśmy w tej samej sytuacji.

- Niezupełnie. Ja mogę chodzić po całym domu i po tych hektarach dookoła. A może źle zrozumiałam? - udało, że się zaniepokoiła.

- Dobrze zrozumiałaś. Możesz chodzić, gdzie chcesz, bylebyś nie zbliżała się do przystani.

- I nie wchodziła do twojego gabinetu - uzupełniła Julie.

- Lubię mieć spokój, kiedy pracuję. A tobie chyba nie

brakuje przestrzeni. Masz do swojej dyspozycji całą posiadłość.

- Zgadza się - mruknęła, przełykając kęs bułki - ale wszystko, co fajne, dzieje się tam, gdzie ty jesteś.

- Nie zauważyłem. - Ben uśmiechnął się mimo woli.

- Ty w ogóle niewiele zauważasz. - Popiła bułkę kawą ze swego kubka.

Ale ciebie zauważam, pomyślał. Zawsze i wszędzie.

- Nie masz racji - powiedziała. - W końcu zarządzam tą posiadłością.

- Posiadłością zarządza Benson, a ty się zajmujesz swoimi przedsiębiorstwami - stwierdziła ze znanstwem.

- Założę się, że nie ogłoszą upadłości, jeśli przez jeden dzień nie będziesz ich doglądał.

- Wprost przeciwnie. Mój świat się zawali. - Jakby na potwierdzenie tych słów, zadzwonił telefon. Ben podniósł słuchawkę, poprosił rozmówcę, by chwilę zaczekał, po czym spojrzał na Julie.

Zrozumiała, że ten telefon wybawił go z niezręcznej sytuacji.

- Pożyj sobie trochę, Ben - powiedziała, wstając. - Rzuć w diabły tę robotę.

- Nie mogę.

- Wybieram na przejażdżkę - ciągnęła, nie zważając na jego protest. - Pojedziesz ze mną?

- Konno?

- A masz coś innego, czego dałoby się dosiadać? - Julie zaraz pożałowała tych słów; z całej siły starała się nie

zarumienić. - Owszem, konno. Wiesz, to te czworonożne stworzenia, które stoją w twojej stajni.

- Wiem, ale nie pojadę.

- Jak sobie chcesz. - Wzruszyła ramionami, podeszła do drzwi. - Ale pamiętaj, że jesteś mi winien obiad. Nie dam ci spokoju, dopóki nie zjesz razem ze mną, jak człowiek cywilizowany.

Ben przełączył rozmówcę na tryb oczekiwania, wstał zza biurka, podszedł do Julie.

- Wiesz, wolałbym...

- Nie chcę tego słuchać - powiedziała. Wychodząc natkanęła się na Bensona. - Na obiedzie będą dwie osoby - powiedziała do niego. - Dopilnuj, żeby on się pojawił.

Rzuciła Bensonowi zalotne spojrzenie, które omal nie zwaliło z nóg starego lokaja i wyszła z gabinetu.

Ben wpatrywał się w zamknięte drzwi, a potem spojrział na Bensona.

- Wytrwała młoda dama - stwierdził Benson.

- Prawdziwe utrapienie - westchnął Ben, siadając z powrotem za biurkiem.

Tymczasem Benson zabrał tacę i zniknął tak samo bezszelestnie, jak się pojawił.

Ben postanowił nie patrzeć w monitor; nie chciał patrzeć na Julie. Gdyby bez przerwy sprawdzał, co robi Julie, wkrótce zmieniłby się w szalonego podglądacza i jak by to o nim świadczyło?

Nagle poczuł się jak dzwonnik z Notre Dame, oglądający świat z wysoka i marzący o prawdziwym życiu.

Zaczął się nawet zastanawiać, czy jednak nie wybrać by się z Julie na przejażdżkę, ale jego wzrok spoczął na zdjęciu zmarłej żony. Natychmiast odezwało się poczucie winy. Przypomniało, że zmarnował życie tej kobiety, i życie Julie także by zrujnował.

Przewrócił zdjęcie, nie chciał widzieć tej twarzy.

A jednak w końcu wyszedł na werandę. Patrzył, jak Julie galopuje po trawniku na najlepszej klaczy z jego stajni. Trochę go to zaskoczyło. Spodziewał się, że dosiadzie ogiera, ale widać Dobbs miał dość rozumu w głowie, żeby dać jej właściwego konia.

Julie rozłożyła szeroko ręce, puściła lejce. Prowadziła konia samymi nogami. Jej dźwięczny śmiech rozbrzmiewał na łące, wzbudził w Benie dawno zapomnianą radość życia.

Ileż to lat nikt nie śmiał się w tym domu, pomyślał i wrócił do gabinetu.

Radio grało na cały regulator, a Julie zmywała mopem kuchenną podłogę. Przy jednym końcu długiego blatu Willis polerował srebra, które i bez tego lśniły, a przy drugim jeden ze służących prasował serwetki i obrusy. Julie miała serdecznie dosyć samotności, więc przyszła do kuchni, bo tylko tutaj istniało jakieś życie. Willis okazał się bardzo zabawnym człowiekiem. Żartował podczas pracy, która - zdaniem Julie - była całkowicie bezproduktywna. W domu nie było gości, obsłużyć trzeba było tylko ją i Bena, a i gotować dla niewielu osób, toteż służba musiała sobie wynajdywać zajęcia, żeby nie umrzeć z nudów.

Jean Claude śpiewał głośno, wyrabiając ciasto na chleb.

- Podnieś nogi, Willis - poleciała Julie, a potem wytarła podłogę pod nogami Willisa.

- Zrobisz mi dziurę w podłodze, bebe - ostrzegł Jean Claude, patrząc, jak Julie płucze mopą i znowu atakuje posadzkę.

Nim zdążyła odpowiedzieć, jak grom z jasnego nieba rozległ się głęboki głos.

- Co ty wyprawiasz?

Julie się odwróciła. Ben stanął w progu i wszyscy natychmiast zamilkli. Jean Claude nawet wyłączył radio.

Czego on się wścieka, pomyślała Julie.

- Domyśl się - burknęła. - Podobno jesteś inteligentny.

- Zmywasz podłogę? - spytał Ben głośniej, niż było trzeba.

- Widzisz, jaki jesteś zdolny! Zawsze w ciebie wierzyłam.

- Odłóż ten mop - rozkazał Ben. - Nie musisz wyręczać służących.

Julie popatrzyła na zmartwiałe nagle twarze, oparła mop o blat, po czym podeszła do Bena.

- Mówiłeś coś?

- Nie życzę sobie, żebyś pętała się pod nogami moim pracownikom i przeszkadzała im w wykonywaniu obowiązków.

- A jeśli nie posłucham, to co? Wyrzucisz mnie? A może

zrobisz się jeszcze bardziej marudny niż jesteś? - Mówiąc, dziobała palcem tors Bena. - No więc dowiedz się, Augustusie Benie Blackmonie IV, że nie lubię, jak się na mnie warczy.

- Im bardziej dziobała go palcem, tym dalej cofał się Ben.
- Możesz sobie udawać potwora przed wszystkimi, ale nie przede mną. Jasne?

- Utrudniasz funkcjonowanie tego domu!

- Naprawdę? Udowodnij. - Szerokim gestem omiotła kuchnię. - Nie widzisz, że ci ludzie nie mają nic do roboty? Większa część domu w ogóle nie jest używana. Ty pewnie nawet nie wiesz, że w szklarni rozkwitły kwiaty. Niektóre meble do dziś nie zostały rozpakowane, w kuchni jest tyle jedzenia, że można by nakarmić batalion komandosów, a w całym domu dość miejsca, żeby ich zakwaterować. Ale tylko ty tutaj mieszkasz. Ty sam! No i ci zastraszeni ludzie, gotowi na każde twoje skinienie. Cóż to za straszne marnotrawstwo!

Benowi podobała się taka zagniewana. Ani trochę się go nie bała, nie tak jak inni. Na dodatek świetnie się czuła w towarzystwie służących. Lily traktowała ich jak powietrze, jeśli już odzywała się do służby, to tylko po to, żeby wydać polecenie.

Wspomnienie żony zirytowało go jeszcze bardziej.

- Ja decyduję o tym, czego się tu używa, a co się marnuje - warknął - i życzę sobie, żebyś zostawiła pracę służącym.

- Możesz sobie życzyć - prychnęła Julie. - Ja nie muszę słuchać twoich rozkazów.

- Coś ty powiedziała? - zapytał, a oczy mu się zwięziły ze złości.

- To są moi przyjaciele - odparła Julie i jej oczy także zwięziły się niebezpiecznie. - Nie przestanę się do nich odzywać tylko dlatego, że ty sobie tego życzysz. A ponieważ wszyscy bez przerwy pracują dla ciebie, mogą to robić tylko wtedy, kiedy wykonują swoje obowiązki. Dlatego nie zostawię ich w spokoju. Będę przychodzić do kuchni, kiedy zechcę.

Ben zacisnął zęby. Miał ochotę nią potrząsnąć. Albo ją pocałować.

- Twoi ludzie są ci wdzięczni za pracę - odezwała się znowu, tym razem ciszej, nie tak agresywnie - ale chyba nie bardzo cię lubią. Naprawdę chcesz tak żyć? Chcesz, żeby wszyscy się ciebie bali?

Nie chciał. Jednak pięć lat samotności sprawiło, że stał się wyjątkowo drażliwy. A może przyczyną jego rozdrażnienia była Julie? Bez chwili przerwy znajdowała się blisko niego. Za blisko. Kusiła...

- Oprócz ciebie?

- Ja nie muszę się bać, bo nic w moim życiu nie zależy od ciebie. - Popatrzyła prosto w jego ciemne oczy. - Praca w tym domu byłaby znacznie przyjemniejsza, gdybyś przestał warczeć na wszystkich. Twoi pracownicy żyją w ciągłym strachu.

Uniósł brwi, jakby chciał spytać: „I co z tego?”. Wiadocześnie wcale go to nie martwiło.

- W tej chwili cię nie lubię - wypaliła Julie.

Wróciła do kuchni, przeprosiła służących za zachowanie Bena, po czym wyszła, bez słowa przeszła obok Bena i pomaszerowała przed siebie długim korytarzem.

- Julie! - zawołał za nią.

Nie zatrzymując się, machnęła ręką, żeby dał jej spokój. Kiedy zniknęła mu z oczu, Ben popatrzył na swoje wypolerowane do połysku buty, na lśniąca posadzkę, a potem rozejrzał się po nieskazitelnie czystym domu. Ani śladu kurzu, każda rzecz na swoim miejscu...

W tej chwili prawie zateśnił za bałaganem, za śladami życia, za dźwiękiem głosów i śmiechem, które przecież dopiero co tutaj słyszał. Julie miała rację. Dom rzeczywiście wyglądał na niezamieszkanie. Jak muzeum pełne pięknych rzeczy, których nikt nie ogląda. Ani nie używa.

Ben przesunął palcami po włosach, westchnął ciężko i znów poszedł do swego gabinetu. Zamykając za sobą drzwi, poczuł nagłą nienawiść do tych czterech ścian i do samego siebie.

Ben siedział przy stole w jadalni. Czekał. Julie nie przyszła. Ale zjawił się Benson.

- Julie chciała, żebym zjadł z nią obiad. Gdzie ona jest?

- zapytał Ben.

Benson odchrząknął. Był wyraźnie zakłopotany.

- Panna Julie postanowiła zjeść obiad w swoim pokoju, sir - odparł Benson z kamienną miną, ale w jego oczach czaiło się współczucie. - Prosiła, żebym przekazał panu wiadomość.

- Słucham.

- Panna Julie postanowiła trzymać się tej części domu, którą pan jej wyznaczył, sir. Powiedziała, że zrobi to z przyjemnością.

Ben w zasadzie powinien być zadowolony. Nie był.

Nawet nie ma jej w pobliżu, pomyślał, a i tak robi ze mną, co chce.

Wstał, zostawiając na stole nietknięty posiłek.

- Czy zanieść obiad do gabinetu, sir? - zapytał Benson.

- Nie, dziękuję. - Już miał wyjść z jadalni, ale przystanął, jakby o czymś sobie przypomniął. - Zaczekaj, ja to wezmę. - Wziął od Bensona tacę.

- Sir?

- Odpocznij, Benson. Weź sobie wolne. Nic mi nie jest - zapewnił, widząc zdumioną minę lokaja.

Nagle zdał sobie sprawę, że Benson zawsze przynosi mu jedzenie. Tak się do tego przyzwyczaił... No tak, ale prócz Bensona nie miał żadnego towarzystwa.

Poszedł do szklarni, postawił na stole tacę ze swoim obiadem, zdarł plastik z nieużywanego jeszcze krzesła, a w końcu usiadł, położywszy nogi na drugim krześle.

Jadł samotnie, przyglądając się orgii kolorów. Wentylator, kręcący się ponad jego głową, przywiewał słodki zapach dopiero co rozkwitłych kwiatów.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Już dwa dni nie widział Julie. Tak jak obiecała, trzymała się wschodniego skrzydła. Czasami słyszał jej głos, ale kiedy wyglądał przez okno, już jej nie było. Najwyraźniej stroniła od niego i pewnie dlatego odosobnienie Bena stało się bardziej dotkliwie niż przed jej przybyciem.

Przeszkadzało mu, że jest na niego wściekła. Z chęcią by ją przeprosił, lecz ani myślał uganiać się za nią po całej posiadłości. Pozostawało mu mieć nadzieję, że Julie w końcu nie wytrzyma i znów odwiedzi go w bibliotece.

Ben włożył szlafrok, zszedł do kuchni.

Był środek nocy, ale jemu burczało w brzuchu i z tego powodu nie mógł zmrużyć oka.

Pomyślał, że pewnie zaraził się bezsennością od Julie. Wiedział, że ona nie sypia po nocach. Benson mu zameldował, że Julie kręci się po domu o dziwnych porach, a światło w jej pokoju pali się do rana.

Ben nie rozumiał, dlaczego ona nie sypia. Jej prześladowca siedział w więzieniu, za kilka tygodni miał się odbyć proces... Czyżby ciągle się bała? W Nine Oaks na pewno nie ma się czego bać.

Wszedł do kuchni, sięgnął do przełącznika, kiedy zoba-

czył postać siedzącą przy kuchennym blacie. Światło nad blatem było wystarczająco jasne, żeby mógł ją poznać.

Julie spojrzała na niego przez ramię. Nie zdążył dostrzec jej twarzy, bo zaraz odwróciła głowę, ale mógłby przysiąc, że pośpiesznie ociera łzy.

- Co się stało, Julie?

- Zupełnie nic - odparła. Pomyślała, że koszmarny sen to rzeczywiście nic wielkiego. W każdym razie ona już prawie przywykła. Ale ucieszyła się na widok Bena. Samotne uzalanie się nad sobą stało się już nie do wytrzymania. - Możesz wejść. Nie gryzę.

-I dobrze, bo ja nie mam nastroju na kłótnię.

- Myślisz, że mnie to obchodzi?

Ben uśmiechnął się pod nosem i wszedł do kuchni, zapalając po drodze górne światło.

Julie ciaśniej otuliła się szlafrokiem. Jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że oboje są nieubrani.

- Lody? - zdziwił się Ben, spojrzawszy na jedzenie, jakie sobie wybrała. - G tej porze?

- Na lody zawsze jest dobra pora. - Wpakowała sobie do ust łyżeczkę lodów, uśmiechnęła się do Bena.

Wiedział, że to sztuczny uśmiech, bo oczy wciąż miała czerwone od płaczu, ale nic nie powiedział. Otworzył lodówkę, wyjął sobie składniki na kanapki, położył je na blacie obok lodów Julie, wziął deskę, nóż i zabrał się do krajania.

- Benson twierdzi, że często przesiadujesz do późna. Czy choć spróbowałaś trochę pospać?

- Jasne - zanurzyła łyżeczkę w pucharku z lodami. - Liczyłam owce, wyobrażałam sobie biały pokój, oczyszczałam umysł medytacją. Nic nie pomaga. A od pigułek łatwo się uzależnić.

- Ciągłe o nim myślisz, prawda?

Gwałtownie podniosła głowę.

- Tak, trochę. - Straciła pewność siebie, jakby opadła jakaś bariera. - Racjonalny umysł mi podpowiada, że on jest pod kluczem, ale i tak ciągle czuję - wzruszyła ramionami - jakby stał za moimi plecami i patrzył.

- Nie stoi.

- Jest bogaty, może wyjść za kaucją. Jego adwokaci już mnie obsmarowali. Uprzedzili mnie, że nie uda mi się go zamknąć na długo. - Zaciśnęła usta. Widać było, że stara się ukryć strach, który znów ją opanował.

- Będzie siedział - zapewnił ją Ben, krojąc zimne mięso. Ręce go bolały, tak bardzo się starał nie przytulić jej do siebie. - Co on ci zrobił?

Wstała, odłożyła lody z powrotem do lodówki.

- Dręczył mnie - powiedziała niedbale, choć w jej głosie słychać było strach. - Nie chcę o tym mówić.

- W porządku. Zjesz kanapkę?

Pokręciła głową, ale wzięła plasterek mięsa.

Ku zdumieniu Bena nie uciekła, tylko stała obok niego i patrzyła. Przyglądała mu się. Nie musiał podnosić głowy, żeby się o tym przekonać. Czuł na sobie jej spojrzenie. Czuł zapach jej perfum. Wspomnienie pocałunku przypłatało się nieproszone, wywołało falę pożądania.

Przełknął ślinę, popatrzył na Julie.

- Przepraszam cię... - zaczął. - Za wszystko. Za to jak się do ciebie odezwałem, jak cię potraktowałem.

-Wybaczam ci - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Ben uniósł brwi bardzo zdziwiony. Nie przypuszczał, że Julie tak łatwo da się przeprosić.

- Nie jestem taka wredna, jak ci się wydaje - wyjaśniła Julie, uśmiechając się do niego. - Tylko już nigdy więcej mi nie rozkazuj.

- No tak, zapomniałem, że ty nigdy nie lubiłaś ograniczeń.

- Mam to od dzieciństwa. Ponieważ wszyscy mnie znali i wiedzieli, do czego jestem zdolna, zawsze mnie kontrolowano. A jak narozrabiałam, sprawdzali jeszcze staranniej.

- Znam to uczucie - Ben uśmiechnął się pod wąsem. - W moim domu zawsze było pełno ludzi, którzy dokładnie wiedzieli, co właśnie zmagstrowałem.

- Tak, ale to ty byłeś szefem.

- Nie zawsze.

- Zejdź na ziemię, człowieku. Prawie jakbyś był. Kto by się odważył zabronić następcy tronu Nine Oaks robić tego, na co ma ochotę?

Ben posmarował mięso majonezem, złożył kanapkę.

- Chcesz powiedzieć, że mnie rozpuszczono?

- Oczywiście - odparła Julie, podając mu talerz.

Nie potrzebował talerza. Wystarczyła mu deska do krojenia.

- Jesteś szczerą aż do bólu. Coś mi się zdaje, że zaraz palniesz mi kazanie.

- A chciałbyś? Nienawidzę, kiedy mnie ktoś poucza, ale skoro prosisz, to coś ci powiem. Przywykłeś do tego, że wszyscy tańczą, jak ty im zagrasz, i dlatego źle znosisz wszelki opór.

Tylko Julie tańczyła w takt własnej muzyki. To właśnie w niej lubił, ale poczuł potrzebę wrzucenia kamyka do jej ogródka.

- A ty nie? Chciałabyś, żeby wszystko szło twoim tempem, najlepiej błyskawicznie.

- To fakt - przyznała Julie, czym po raz kolejny wprowadziła go w zdumienie. - Widzisz, życie jest za krótkie, żeby je marnować, dlatego trzeba robić to, na co ma się ochotę.

- Przecież nie robisz tego, co byś chciała. Musisz się ukrywać.

- Chowam się przed dziennikarzami, ale to nie potrwa długo. Za to ty przez pięć lat ani razu nie opuściłeś tego miejsca.

Nastrój Bena zmienił się w mgnieniu oka. Julie odczuła to tak, jakby zatrzaśnięto jej przed nosem dopiero co uchylone drzwi.

- Nie próbuj mnie analizować - warknął Ben.

Julie bardzo mu współczuła. Był taki przystojny, pojętny i bajecznie bogaty, a przy tym samotny i niesamowicie smutny.

- To ty zacząłeś ten temat, Ben.

Głos Julie był tak ciepły, że Ben poczuł przemożną chęć przytulenia się do niej. Jednak nie zrobił tego, tylko odłożył niedojedzoną kanapkę, odsunął od siebie deskę.

- Przepraszam cię za to - westchnął.

- Tak bardzo ją kochałeś?

Podniósł głowę, jego spojrzenie stało się ostre, lodowate.

- Mówię o twojej żonie - wyjaśniła Julie. - Lily musiała być cudowna.

- Tak sądzisz? - zapytał głucho. - Przypuszczasz, że wciąż ją opląkuję?

Cały świat tak właśnie myślał, ale Ben nie chciał, żeby Julie wierzyła w to kłamstwo. Niestety, prawdy też nie mógł jej powiedzieć;

- W zasadzie tak, chociaż... Sama nie wiem. Jestem pisarką, ciągle wymyślam najdziwniejsze sytuacje, więc w tej sprawie też przychodzą mi do głowy różne rozwiązania, ale Suzannah uważa...

- Suzannah o niczym nie wie.

- Nie zwierzasz się jej?

- Ona nie musi wiedzieć i ty też nie. To wyłącznie moja sprawa.

Julie zrazu poczuła się urażona jego ostrym tonem, ale gdy zobaczyła jego zmaltretowaną i zawstydzoną minę, pojęła, że źle go zrozumiała.

- Ben? Spójrz na mnie.

Nie spojrzał. Starannie zamykał słoiki, pakował jedzenie do pojemników.

- Nie myśl sobie, że jestem taki szlachetny - odezwał się, nie podnosząc oczu. - Mogłabyś się bardzo rozczarować.

Powiedziawszy to, wyszedł, jakby się dokądś spieszył.

Julie dokończyła sprzątanie, ale cały czas coś jej chodziło po głowie, coś się nie zgadzało. Dopiero po chwili dotarło do niej, co to takiego: Ben nie opłakiwał Lily.

A więc dlaczego tak się męczy, zastanawiała się Julie. Po co ukrywa się w swojej posiadłości?

- Nie patrz tak na mnie, Benson - powiedziała Julie.
- Tym razem mi się uda.

Nieprzeniknione zazwyczaj oblicze Bensa tym razem wyrażało wątpliwość.

- Ja tylko chciałem oszczędzić pani przykrości. - Lokaj podał jej kosz piknikowy, zawiesił na ramieniu patchworkową kape. - On się nie ruszy z domu.

- Nie zaszkodzi spróbować, prawda?

Julie doskonale rozumiała obawy Bensa i bardzo ją wzruszyła jego troskliwość. Zwłaszcza że mądrzejsza, bardziej rozsądna część jej umysłu całkowicie zgadzała się z Bensonem. Podpowiadała, że należy zostawić Bena w spokoju, zająć się własnymi sprawami i cieszyć się beztróskim życiem w Nine Oaks.

Jednak pozostała część serdecznie żałowała tego człowieka, którego dostrzegła poprzedniej nocy. Ten nowy Ben był smutny, obolały, totalnie nieszczęśliwy.

Postanowiła wyciągnąć go z dołka. Nawet nie pomy-

ślała o tym, że zajmując się Benem, nie ma czasu rriyśleć o Kreegu, o bandzie jego adwokatów ani o własnym strachu. Nie umiała się nie wtrącać, taką miała naturę.

Wyszła frontowymi drzwiami, okrążyła zachodnie skrzydło, weszła na werandę przy bibliotece, zastukała w drzwi balkonowe. Bardzo się denerwowała.

Ben wstał z fotela. Był zły. Pewnie się zastanawiał, kto ośmiela mu się przeszkadzać, jednak drzwi otworzył.

Najpierw oślepiło go słońce. Dopiero potem zauważył, że Julie pięknie wygląda z włosami rozwiewanymi przez wiatr, z miłym uśmiechem na ustach. Uśmiechała się do niego, chociaż on nawarczał na nią w nocy.

Kiedy wreszcie udało mu się oderwać oczy od jej pięknej postaci, od tych jej cudownie długich nóg, dopiero wtedy zauważył, że trzyma w ręku kosz piknikowy.

- Nie - powiedział stanowczo i na wszelki wypadek nawet się cofnął.

Julie przestała się uśmiechać, a on wściekł się na siebie za to.

- Nawet nie wiesz, co chcę ci zaproponować - nadała się odrobinę.

- Przecież widzę. - Ruchem głowy wskazał kosz piknikowy.

- Naprawdę nie jesteś głodny? - kusiła. - Nie masz ochoty się wyrwać z tego ponurego pokoju, gdzie masz tylko komputery i telefony od ludzi, którzy ciągle czegoś chcą od ciebie?

- Wliczasz w to także siebie?

- Skądże - odparła ze śmiechem.

Skoro nie było innego wyjścia, postanowiła użyć siły. Złapała Bena za ramię, wyciągnęła go na zalaną blaskiem słońca werandę. Gdy zmrużył oczy, chroniąc je przed światłem, zrozumiała, że postąpiła właściwie.

- Jest cudowna pogoda. I spójrz tylko na ten widok. Jest wart majątek! - Pokazała mu kwitnące kwiaty, stare dęby w festonach bluszczu. - No, chodź. Pobaw się ze mną.

Jej słowa kusiły, spojrzenie zapraszało, ale Ben dobrze pamiętał, że nie ma prawa zbliżyć się do Julie. Nawet niewinny piknik stanowił zagrożenie. Za nic w świecie nie chciałby skrzywdzić tej kobiety, a tak by się to skończyło, gdyby choć na chwilę znalazł się zbyt blisko niej.

- Wiem, że chcesz dobrze i na pewno myślisz, że mi pomagasz, ale ja sobie tego nie życzę - tłumaczył.

- Ja miałabym ci pomagać? W czym?

- W moim życiu.

Obejrzała sobie Bena od stóp do głów, wzniecając tym spojrzeniem pożar w jego żyłach.

- Jesteś dorosły - powiedziała po chwili. - Nie potrzebujesz pomocy. Chcesz żyć jak pustelnik, to żyj, mnie nic do tego. Zresztą obiecałam nie wtrącać się w twoje sprawy. Tylko widzisz, ja się potwornie nudzę. Lubię swoje towarzystwo, ale akurat dzisiaj naszła mnie ochota na piknik, a piknik w pojedynkę nie ma sensu. Dlatego bardzo bym chciała, żebyś ze mną poszedł.

- Coś mi się zdaje, że tym razem nie zdołam ci tego wyperswadować - westchnął zrezygnowany Ben.

- Raczej nie. Przecież wiesz, jaka jestem namolna. Gorsza od twojej siostry.

Obeszła Bena dookoła, stanęła mu za plecami, popchnęła, lecz nie zdołała go poruszyć. Ben uśmiechnął się pod wąsem. Zachowywała się jak małe dziecko, które koniecznie chce postawić na swoim.

- Mam dużo pracy - bronił się bez przekonania.

- Weź sobie wolny dzień. W końcu to ty jesteś szefem - nie ustępowała Julie. - A jeśli uważasz, że twoja firma się zawali, jeśli sam wszystkiego nie dopilnujesz, to znaczy, że jesteś kiepskim szefem.

-Rzuciłaś mi rękawicę, młoda damo - powiedział, spoglądając na nią przez ramię.

- Więc podnieś ją, mój panie. - Puściła do niego oko.
- Przyjmij wyzwanie.

Ben w końcu się poddał. Naprawdę chciał choć trochę z nią побыć. Tłumaczył sobie, że przez dwie godziny nic złego się nie stanie, że nawet on nie zdoła skrzywdzić kobiety w tak krótkim czasie.

- Dobrze - zgodził się - tylko się przebiorę.

- O nie - zawołała Julie, popychając go w stronę ścieżki. - Pójdiesz tak, jak stoisz. W ten sposób nie będziesz miał możliwości przekonać samego siebie, że należy jednak zostać w domu.

- Wcielony diabeł - mruknął Ben i pomyślał, że bardzo sympatyczny.

- To dla ciebie nowość? - Julie posłała mu ten swój uśmiech, który zawsze go podniecał.

Wziął od niej koszyk.

- Dobry Boże, co ty tam masz?
- Kurczaki pieczone po luizjańsku...
- Dla całej armii?
- No nie, nie tylko kurczaki, ale to niespodzianka.

Szli nad brzeg rzeki. Ben trochę się tego obawiał. Już bardzo dawno nie zbliżał się do rzeki.

- Popływamy, łódka?
- Nie! - Zaprotestował ostrzej, niżby należało. Nie życzył sobie także, żeby pływała sama.
- Dobrze - zgodziła się potulnie Julie. - Zostaniemy na brzegu.
- Wolałbym nie. - Ben naprawdę nie miał ochoty iść nad rzekę.
- Nie bój się, ja cię obronię - zażartowała Julie, maszerując w stronę wielkiego pomostu, przypominającego raczej molo niż pomost rzecznej przystani.

Ben się zatrzymał, oparł dłonie na biodrach i patrzył na Julie. Szła prosto na koniec pomostu, gdzie znajdowała się przestronna altana. Stamtąd lepiej było widać rzekę i to, co się na niej działo, niż gdyby wypłynąć łódka.

Ben nie był tam od pięciu lat. Znów pomyślał o Lily i okolicznościach jej śmierci, ale zaraz odepchnął od siebie tę myśl i podążył za Julie.

Julie minęła altanę, poszła na sam koniec pomostu, rozłożyła kapę i rozsiadła się na niej wygodnie.

Zerknęła na Bena. Nie rozumiała, dlaczego on się tak bardzo denerwuje.

- Usiądź tu - poklepała miejsce obok siebie.

Ben postawił koszyk, usiadł. Julie wyciągnęła z kosza miseczki i talerze owinięte w ściereczki i przewiązane wstążeczkami.

A więc wszystko sobie zaplanowała, pomyślał wzruszony. Musiała mieć pewność, że się z nią wybierę.

- Widzisz, to wcale nie było trudne - powiedziała Julie, gdy zdjął buty i skarpetki.

- Bolesne - skrzywił się żartobliwie. - Mam brzydkie stopy.

- Masz duże stopy - zażartowała. Oczy jej błyszczały, kiedy rozkładała jedzenie na talerzach.

- W jedzeniu na dworze jest coś dziwnego - mówiła, jakby do siebie. - Człowiek nigdzie się nie spieszy, powoli smakuje każdy kęs i cieszy się bliskością natury.

- Tłumaczysz się z tego, że przymusiłaś mnie do wyjścia?

- Ja ciebie przymusiłam? - Julie zrobiła minę niewiniątka. Do grubych szklanek nalała słodką herbatę malinową, jedną szklanek podała Benowi. - Musiałam cię wyciągnąć na dwór, bo inaczej nigdy byś nie wyszedł z tej swojej jaskini.

- Masz rację - przyznał z uśmiechem. - Możesz tryumfować.

Ben napił się herbaty, odgryzł kawałek kurczaka. Jedzenie było wyśmienite, a on okropnie głodny. Nawet nie przypuszczał, że aż tak bardzo. Dokładnie obgryzł nóżkę kurczaka, sięgnął po inne specjały. Nagle zauważył, na czym siedzi, musnął dłonią kapę, uśmiechnął się lekko.

- Tę kapę zrobiła babcia mojej mamy.

- Nie wiedziałam - przestraszona Julie patrzyła na czerwono-biało-niebieski wzór. - Benson mi ją dał. Teraz widzę, że nie trzeba było wynosić jej z domu.

- Dobrze zrobił. - Ben machnął ręką. - Moja babcia zawsze powtarzała, że rzeczy nie są po to, żeby je oglądać, tylko po to, żeby ich używać.

- Moja mama też tak uważała. W naszym domu właściwie nie było przedmiotów, które nie miałyby praktycznego zastosowania.

- Lubiłem tu przychodzić, kiedy byłem mały - opowiadał Ben, zapatrzony w wodę. - Zarzucałem wędkę, ale nigdy nic nie złapałem. Za to mogłem myśleć.

- Chwila samotności - Julie ze zrozumieniem pokiwała głową. - Ja często z tego korzystam.

Uśmiechnęła się, zjadła odrobinę sałatki z krewetek.

- Roztyję się jak balon, jeśli nie przestanę się objadać. Uwielbiam Jean Claudea!

- Nie umiesz gotować? - domyślił się Ben.

- Pewnie, że umiem. Otwieram paczkę, nastawiam zegar, podgrzewam.

Ben się roześmiał. Uśmiech całkowicie go zmienił. Julie pomyślała, że Ben wreszcie wygląda jak tamten mężczyzna, którego zapamiętała.

- Nawet ja potrafię więcej.

- Niektórzy ludzie znają się na tym, a inni na owym. Ja nie gotuję, ale umiem docenić prawdziwy talent - oświadczyła, po czym zajęła się słodkim kremem i kompotem.

- Byłem w szklarni - odezwał się Ben.

- Naprawdę? - Julie zlizwała krem z górnej wargi. Ben patrzył zafascynowany, jak jej język przesuwa się po prześlicznych ustach. - Miałaś rację, tam jest naprawdę pięknie.

- To chyba moje ulubione miejsce - wyznała Julie. Podała mu łyżeczkę sałatki z krewetek. - Spróbuj tego.

Ben złapał ją za rękę, przysunął sobie do ust. Zjadł wszystko z łyżeczki i wtedy coś jakby się zawaliło. Jakaś bariera, może mur, nie wiedział.

- Obejrzałaś sobie cały dom? - zapytał.

Był teraz bardzo blisko. Tak blisko, że mogła dostrzec błysk w jego oczach.

- Owszem. Wszystko, prócz twojej sypialni.

- No to trzeba będzie to nadrobić.

- Czy to zaproszenie?

Benowi zrobiło się duszno na samą myśl o tym.

- Owszem. Na wycieczkę - wyjaśnił roztropnie, choć obraz Julie rozciągniętej w jego łóżku odesłał jego myśli do miejsc, w których absolutnie nie powinny się znajdować.

- Wolałabym, żebyś mi pokazał tajne przejścia.

- Suza ci powiedziała - mruknął, sięgając łyżką do jej miseczki z sałatką z krewetek. - Kiedy?

- Dawno temu. A myślisz, że jakim cudem udawało nam się w porę zniknąć z miejsc, w których nikt nie powinien nas widzieć?

- A bo ja wiem? - Ben wzruszył ramionami. - Naciągając Bensaona?

- Bardzo nam pomagają, ale nie zawsze. Gdybyśmy naprawdę źle się zachowywały, to by się wygadał.

Przekomarzali się ze sobą i żadne nie zauważyło, że czas mija.

Ben podciągnął do góry kolano, oparł się plecami o słup. Nie chciało mu się jeść ani podziwiać widoku, tylko słuchać Julie i patrzeć na nią. Jedną nogę podkurczyła, drugą machała w wodzie, ani na chwilę nie przerywając jedzenia. Miała zadziwiający apetyt, jak na tak drobną osóbkę.

- Chciałabym przenieść się do cienia - powiedziała Julie.

Ben wstał, odwrócił się, chcąc podać jej rękę. Julie wstała w tej samej chwili. Wpadli na siebie.

Ben patrzył bezradnie, jak Julie traci równowagę, jak wpada do głębokiej w tym miejscu wody.

- Julie! - wrzasnął przerażony.

Ukląkł na skraju pomostu. Włożył rękę do wody, ale nie znalazł Julie. Wspomnienie Lily zablokowało racjonalne myślenie, rytm serca wyrwał się spod kontroli.

Julie wynurzyła się tuż przed nim. Odgarniała mokre; włosy z twarzy i śmiała się radośnie.

- Nic mi się nie stało - zapewniła na widok przerażonej miny Bena. Utrzymywała się na wodzie jak korek. Jestem cała i zdrowa. Możesz sprawdzić.

Zanurkowała, a po chwili wynurzyła się tuż przy nim. Nie czekając, wziął ją pod pachy, podniósł do góry, postawił na pomoście i już miał ją w ramionach. Nie mógł się

powstrzymać. Pochylił się, przytulił twarz do jej mokrych włosów. Oddychał szybko i głośno, jakby się bał, że serce mu stanie.

Julie przypomniała sobie, że jego żona utonęła. Pomyślała, że pewnie znów opadły go straszne wspomnienia.

- Ja świetnie pływam - mówiła szybko, jakby chciała je zagadać. - Nie musisz się o mnie martwić.

Ale on nie słyszał. Był teraz w innym miejscu, w ciemnej, głębokiej jamie wypełnionej poczuciem winy. Czaiło się w jego oczach, w spojrzeniu, przesuającym się po twarzy Julie.

scandalous

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stopy Julie oderwały się od podłoża, gdy Ben zrobił krok w stronę brzegu, ale ani na chwilę nie przestał jej całować. Tulił ją do siebie tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Czuła się cudownie, puściła wodze swoim emocjom i swemu pożądaniu.

Oparł się plecami o słup, jakby nie mógł się utrzymać na nogach o własnych siłach. Dosłownie wciskał ją w siebie, jego dłonie odbywały szaleńczą podróż po ciele Julie.

Tuliła się do niego, pomrukując z rozkoszy. Chciała, żeby wiedział, że tak jest dobrze, że ona na wszystko się godzi, bo czuła, że Ben zaciekle walczy z pożądaniem. Nie chciała, żeby je pokonał.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Julie - wyszeptał.

- A ty mnie - odparła, a potem spytała: - Przestraszyłeś się?

- Śmiertelnie.

- Ja umiem pływać, Ben. Pływam doskonale, ale cieś się, że się przestraszyłeś. Bo to znaczy, że nie jestem ci obojętna.

- Jeszcze masz wątpliwości? Nie rozumiesz, że potrzebuję cię jak powietrza?

- A co potem?

- Nie rozumiem.

- Co będzie potem, jak już mnie dostaniesz?

Nie odpowiedział. Julie znów poczuła się odepchnięta.

- Rozumiem. - Wysunęła się z jego objęć, choć jej ciało wciąż go pragnęło.

- Julie... - spróbował znów ją do siebie przygarnąć, ale się wykręciła.

Ben złapał ją za ramiona, obrócił, oparł plecami o poręcz pomostu.

- Co ty wyprawiasz? - protestowała Julie.

- Spójrz za mnie, tam, koło płotu.

Wyjrzała spoza niego, zobaczyła las oddzielający posiadłość od drogi, a w nim białą furgonetkę stacji telewizyjnej. Ben własnym ciałem osłaniał ją przed pismakami.

- O nie - jęknęła Julie. - Jak myślisz, zrobili nam zdjęcia?

- Jeśli mają teleobiektyw, to pewnie tak. A co, wstydzisz się?

- Nigdy w życiu. A ty?

- Też nie. - Ben pokręcił głową. - Zastanawiam się tylko, co prasa może zrobić z tymi zdjęciami.

- Nic mnie to nie obchodzi. Już nie.

- To dobrze - Ben wyraźnie się ucieszył. - Odkąd pnyjechałaś do Nine Oaks, praktycznie rozłożyli się tu obozem.

- Wygląda na to, że zrobiłam się sławna - Julie uśmiechnęła się szelmowsko.

Zerknęła na widniejącą w oddali furgonetkę, potem schyliła się i pociągnęła za sobą Bena.

- Schowamy się - powiedziała, zbierając do kosza pozostałości po pikniku.

- Co ty znów kombinujesz? - Ben nie całkiem nadażał za tokiem jej rozumowania.

- Uciekniemy im. Przekonamy się, czy rzeczywiście nas podglądają.

- Przecież nie musimy. Kogo oni obchodzą?

- Nikogo - odparła bardzo zadowolona z siebie. - Chodzi o zasadę.

A więc zapowiadała się wspaniała zabawa. Ben postanowił, że nie będzie stał z boku, tylko weźmie w niej udział.

- Zostaw te rzeczy - powiedział. Popatrzył na las na granicy posiadłości, ocenił sytuację. Jakieś sylwetki zbliżały się do przecinki w lesie. - A teraz biegiem!

Julie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Przemoczeni, bez butów puścili się biegiem w stronę domu.

Ben miał bardzo długie nogi i Julie ledwie mogła za nim nadażyć.

- Ben... - jęknęła.

Zatrzymał się, popatrzył na nią, a potem zarzucił ją sobie na ramię i już po chwili dopadł domu. Dysząc ciężko oparł się o ścianę, postawił Julie na ziemi, ale jej nie puścił. Wyrzął zza rogu.

- Te głupki dały się nabrać. Założę się, że spróbują się dostać w pobliże wschodniego ogrodu. - Uśmiechnął się do Julie, aż dech jej w piersiach zaparło. Cały świat zbladł w porównaniu z jego zadowoloną miną.

Julie też się do niego uśmiechnęła, szczęśliwa. Żadna kobieta nie oparłaby się temu mężczyźnie, zwłaszcza kiedy tak pięknie się uśmiechał.

Nieopodal nich jeden z ogrodników przycinał krzewy.

- Czy wszystko w porządku, sir? - zapytał z troską.

- O, tak. Widzisz...

- Mark - podpowiedziała cichutko Julie.

- Wszystko w porządku, Mark. Dziękuję.

Mężczyzna skinął głową. Najwyraźniej nie był przekonany, mimo to wrócił do przerwanej pracy.

- Skąd wiesz, jak ma na imię? - zapytał Ben.

- Po prostu zwracam uwagę na takie rzeczy.

Tymczasem niebo pociemniało, zanosiło się na deszcz.

- O nie - jęknęła Julie. - Kapa prababci!

- Pewnie nie jeden raz zdarzyło jej się zmoknąć. Zresztą jest pod dachem. - Ponownie wyrżał za róg.

-I jak? Zgubiliśmy ich?

- Nie licz na to. Z tego, co wyczytałem w gazetach, wynika, że nie byli dla ciebie zbyt uprzejmi. Teraz będą cię jeszcze bardziej prześladować, zwłaszcza kiedy Kreeg na dobre wyłąduje w więzieniu.

- Wątpię. Ma władzę i pieniądze, i może sobie pozwolić na znacznie więcej niż zwykli śmiertelnicy.

- Na przykład?
- Może sprawić, żeby ława przysięgłych zignorowała fakty i przyjęła jego wersję wydarzeń.
- Przecież on kłamie, Julie.
- Wiem, ale sędziowie nie wiedzą. Mogą sobie pomyśleć, że jestem bezwzględna łowczynią posagów, że wymyśliłam to wszystko, żeby zdobyć wysokie odszkodowanie, albo cokolwiek, co adwokaci Kreega podadzą im do wierzenia.
- A co na to twój adwokat?
- Twierdzi, że w każdej chwili może dostać po łapach. Skoro ma takiego marnego adwokata, to nic dziwnego, że tak bardzo się boi, pomyślał Ben.
- Wobec tego potrzebujesz innego adwokata - powiedział.
- Nawet na tego ledwo mogę sobie pozwolić - skrzywiła się Julie.
- Trzeba będzie coś z tym fantem zrobić - mruknął Ben, jakby do siebie.
- Co przez to rozumiesz? - Zatrzymała się. Krople deszczu spływały po jej uniesionej w górę twarzy.
- Będziesz miała najlepszego adwokata na świecie.
- Ciekawe jakim cudem. - Jeszcze się nie zorientowała, co mu chodzi po głowie.
- Znajdę takiego i zapłacę mu, ile trzeba - oświadczył z mocą Ben.
- Nie ma mowy! - zaprotestowała Julie.
- Dlaczego? - zdumiał się Ben.
- Nie chcę cię wciągać w to bagno. Nigdy się nie zgo-

dzę, żeby twoje nazwisko unurzali w błocie razem z moim. I tak już źle się stało, że tu przyjechałam, ale naprawdę nie miałam się gdzie podziać.

- Czy chcesz, żeby Kreeg zapłacił za swoją zbrodnię?
- zapytał Ben, przyglądając się jej badawczo.

- Oczywiście. Jak możesz w ogóle o to pytać.

- Więc musisz walczyć wszelkimi dostępnymi środkami, a tak się składa, że teraz są prawie nieograniczone.

Chciała zaprotestować, ale Ben ją przytulił. Rozpadało się na dobre.

- Pozwól mi się tym zająć - poprosił niemal czule. - Naprawdę mogę ci pomóc.

Tak bardzo chciał ją obronić przed Kreegiem, nawet przed całym światem. Walczyła całkiem sama, a przecież nie musiała.

- Proszę cię, Julie - nalegał, bo ona wciąż milczała. - Wiesz, że mam możliwości. Co najmniej takie same jak ten bandyta.

W końcu Julie skinęła głową. Uradowany Ben ucałował ją w czoło. Deszcz lał jak z cebra, lecz oni stali przytuleni do siebie, całkiem obojętni na niepogodę.

Julie nareszcie znalazła prawdziwego obrońcę. Strach zelżał, samotność stała się mniej dojmująca.

Wtem pojawił się Benson. Z parasolem.

- Bardzo przepraszam, sir, nie zauważył pan przypadkiem, że deszcz pada?

Popatrzyli na niego, potem na siebie i wybuchnęli śmiechem.

- Naprawdę? - Ben doskonale udał zdziwienie.

Nie wziął parasola, tylko podziękował Bensonowi i w strugach deszczu wraz z Julie pobiegli do domu.

Już pod dachem, Ben otrząsnął się jak pies, spojrzał na Julie. Przesiąknięta wodą koszulka oblepiała jej ciało, dokładnie ukazując wszystkie wypukłości i zagłębienia. Dla Bena Julie byłaby pociągająca nawet gdyby włożyła na siebie worek.

Zjawił się Willis z ręcznikami, wręczył im po jednym. Ben wysuszył włosy Julie, po czym owinał ją ręcznikiem.

- Przeziębisz się - mruknął.

- Jestem wyjątkowo odporna - odparła zadziornie.

- Mimo to idź się przebrać, żeby Benson nie musiał cię potem kurować.

Julie skinęła głową. Już chciała odejść, ale się zatrzymała.

- Ben...

- Tak? - spytał, przerywając na chwilę wycieranie własnych włosów.

- Czasami mnie zaskakujesz.

- Ty mnie zaskakujesz zawsze, Julie - powiedział, uśmiechając się do niej.

Julie pokręciła głową, ale się nie odgryzła. Pomaszerowała do swego pokoju, zostawiając na drewnianej podłodze mokre ślady.

Ben uśmiechnął się porozumiewawczo do Bensa, który wpatrywał się w niego kompletnie oniemiały.

- O co chodzi? - zapytał Ben.

- Od lat nie widziałem, żeby się pan uśmiechał, sir.
- Tak, wiem. - Ben spojrzał w ślad za Julie. - Widzisz, właśnie zrozumiałem, że trzeba się cieszyć chwilą.

Wiedział, że Julie odejdzie, zwłaszcza gdy pozna prawdę. Tymczasem on już nie umiał sobie wyobrazić życia bez niej.

Ben zaszył się w bibliotece. Musiał jak najszybciej załatwić wszystkie sprawy Julie. Najlepiej natychmiast.

Zaczął od telefonu do adwokata Julie. Ten człowiek nie zrobił na nim najlepszego wrażenia. Był albo zbyt słaby, albo za mało doświadczony, żeby poradzić sobie z zastępami adwokatów Kreega. Toteż zaraz potem Ben zadzwonił do swojego adwokata, który podał mu nazwiska najlepszych adwokatów w całym stanie, specjalistów od spraw karnych. Po godzinie spędzonej przy telefonie, Ben nabrał pewności, że Julie jest dobrze zabezpieczona.

Na koniec zadzwonił do swojego maklera.

- Sprzedaj wszystkie moje udziały w CGI Kreega.
- Nie radziłbym tego robić, panie Blackmon. Te akcje przynoszą panu olbrzymie zyski.

- Mam wystarczająco dużo. Sprzedaj je, a potem kup akcje konkurencji. - Zerknął w swoje notatki. - Dream Images.

Makler narzekał, lecz Ben był nieustępliwy. Nie zamierzał rujnować Kreega, ale nie chciał też finansować firmy, której prezes napada na bezbronne kobiety.

Pozostało mu jeszcze tylko porozmawiać z prywatnym detektywem. Zdażył się już dowiedzieć, kto jest najlepszy w takich sprawach i właśnie jego zamierzał zaangażować. Nie zważając na koszty.

Julie zapukała, wsunęła głowę przez uchylone drzwi. Ben rozmawiał przez telefon. Widać było po minie, że rozmówca bardzo go irytuje.

- Skoro raz tak postąpił, to równie dobrze mógł robić takie rzeczy wcześniej. - Chwilę słuchał swojego rozmówcy. - Na pewno jest więcej takich kobiet. Niech je pan odszuka. Tak, dobrze.

Odłożył słuchawkę, spojrzał na Julie. Od razu się uspokoił.

- Dziękuję - powiedziała.

- Przecież jeszcze nic nie zrobiłem.

- Zrobiłeś bardzo dużo. Dałeś Kreegowi powód do zdenerwowania.

Julie podziwiała jego zdecydowanie. Tym bardziej ją zadziwiło, że postanowił nie wychylać nosa poza Nine Oaks. Bardzo chciała poznać powody tej decyzji, lecz nie zamierzała wyciągać z niego zwierzeń. Miała nadzieję, że kiedyś wreszcie zaufa jej na tyle, że opowie, dlaczego postanowił schronić się przed światem. Na razie po prostu nie posiadała się z radości, że znów ma przed sobą Bena takiego, jakim go zapamiętała. Pragnęła, żeby pozostał taki jak najdłużej.

Właśnie zdała sobie sprawę, że pomimo jego irytują-

cej zdolności nieokazywania uczuć, ponownie się w nim zakochała.

- Rozpadało się na dobre - zagadnął. - Co masz zamiar robić?

Na dworze szalała letnia burza, ale w bibliotece prawie nie było jej słychać.

Julie wzruszyła ramionami, obciągnęła bluzkę. Czuła się dziwnie ociężała, po raz pierwszy od bardzo dawna.

- Może spróbuję poczytać. Będziesz mógł spokojnie popracować.

Chciała wyjść, ale Ben ją zatrzymał.

- Zaczekaj. - Podszedł do antycznego barku, nalał brandy do kieliszka, postawił go w podgrzewaczu.

- Nie odchodź - poprosił, czekając, aż brandy osiągnie odpowiednią temperaturę.

Serce podskoczyło Julie do gardła.

Cóż za odmiana, pomyślała podekscytowana. Dotąd zawsze kazał mi się wynosić!

- Jeśli to dla mnie - powiedziała - to dziękuję, nie trzeba.

- To tylko odrobina brandy - przekonywał Ben. - Od tego się nie uzależnisz, a będzie ci się dobrze spało.

Julie usiadła na miękkiej kanapie. Ben podał jej kieliszek, przyklęknął na dywanie.

- Strach całkiem cię wykończył - mówił łagodnie. - Jesteś śmiertelnie zmęczona.

Spędziła tutaj trzy noce i ani jednej nie przespała, pomy-

ślał. Nawet w mojej fortecy nie czuje się bezpiecznie. Najwyższy czas dać jej odrobinę wytchnienia.

- Wiem - westchnęła. - Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zdołam przespać spokojnie całą noc.

- Spróbuj tego. - Zbliżył kieliszek do jej ust i Julie zdecydowała się upić łyżeczek. - Jesteś tu bezpieczna. Nie pozwolę, żeby ten drań cię dotknął. We śnie nie może cię skrzywdzić.

- A jednak to robi - szepnęła słabo, w oczach zakręciły się łzy.

Była okropnie obolała. Benowi ścisnęło się serce.

- Jego siła polega na tym, że pozwalasz mu się dręczyć - powiedział, odgarniając z jej czoła kosmyk włosów.

- Wiem. - Julie westchnęła, upiła jeszcze odrobinę brandy. Poczwała, jak ogarnia ją miłe ciepło. - Lepiej już sobie pójdę. Na pewno masz dużo pracy.

Powieki jej ciążyły. Chciała wstać, lecz Ben ją przytrzymał, odebrał od niej pusty kieliszek, ułożył poduszki.

- Zostań tutaj - poprosił. - Rozbudzisz się, zanim dojdiesz na górę.

- Przecież ty pracujesz - broniła się coraz słabiej.

Zdjął jej sandały, przykrył ją kocem, który zawsze leżał na starym kufrze.

- Nic nie szkodzi - powiedział łagodnie. - Zamknij oczy.

- Robi się, proszę pana. - Westchnęła, wtuliła twarz w poduszkę.

Ben chciał jej dotknąć, pocałować, ale zamiast tego wstał,

wrócił za biurko. Siedział cichutko jak mysz pod miotłą, przyglądał się Julie. Wydawała się całkiem małeńka na ogromnej sofie. Mimo rozpierającej ją energii nadal w środku była obolała, wciąż nie mogła zaznać spokoju. Mógł się dowiedzieć od detektywów i od prawników, co jej zrobił Kreeg, ale nie chciał. Miał nadzieję, że pewnego dnia Julie obdarzy go zaufaniem i sama o wszystkim opowie.

Przełączył wszystkie rozmowy na automatyczną sekretarkę, zajął się pracą. Od czasu do czasu podnosił głowę, a potem znów pochylał się nad papierami, zadowolony, że Julie wciąż śpi spokojnie.

W końcu zostawił ją samą. Wyszedłszy z biblioteki natknął się na przerażonego Bena.

- Nigdzie nie ma panny Julie, sir!

- Zasnęła. - Ben ruchem głowy wskazał bibliotekę.

Benson był zszokowany i Ben doskonale go rozumiał. Obaj z Bensonem świetnie wiedzieli, że Ben nigdy przedtem nikogo nie dopuścił do takiej poufałości.

- Dopilnuj, żeby nikt jej nie przeszkadzał - poprosił Ben.

Benson skinął głową. Jego nieprzeniknioną minę rozjaśnił ciepły uśmiech.

Minęła północ, a Julie wciąż spała. Nareszcie spała spokojnie, bez koszmarów.

Ben wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni. Była taka krucha w jego mocnych ramionach... Położył ją do łóżka, przykrył bardzo starannie.

Dla jej spokoju, dokładnie zamknął drzwi balkonowe i okna. Tylko nie postawił psa koło łóżka, choć miał na to wielką ochotę. Nim wyszedł, jeszcze raz jej się przyjrzał.

Stwarza strasznie dużo problemów jak na tak małą osobkę, pomyślał. Ale mnie się to podoba. O wiele bardziej, niżby należało. Julie wniosła trochę życia do tego starego domu, życia, którego tu bardzo brakowało.

Wiedziony impulsem pochylił się, delikatnie pocałował jej mięciutkie usta. Pocałowała go przez sen i w sercu Bena coś drgnęło.

scandalouis

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Trzeci raz tego dnia opuścił bibliotekę. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. A właściwie rozumiał, tylko nie bardzo chciał się do tego przyznać.

Przez jego myśli przebiegło tysiąc powodów, dla których powinien pozostać zamknięty w tej swojej jaskini, jak określała to Julie. Starał się nie słyszeć hałasu, który nie pozwalał mu się skupić, ale ponieważ wiedział, że Julie jest blisko, że wnosi radość do tego pustego domostwa, nie mógł usiedzieć w miejscu. Miał odrobinę nadziei, że nie zdoła jej znaleźć.

Jednak była. W szklarni. Z Willisem. Młodzieniec właśnie podał jej lunch. Julie siedziała na ogrodowej kanapie z nogami ułożonymi na małym stoliku jak na podnóżku. Mówiła coś z ożywieniem, ale Ben nie rozumiał słów.

Ben oparł się o framugę oszklonych drzwi, patrzył. Fascynowała go żywa mimika Julie.

Właśnie tłumaczyła Willisowi, że Jean Claude najwyraźniej uznał, że ona jest za chuda i dlatego daje jej takie ogromne porcje jedzenia. Willis się roześmiał, Julie się uśmiechnęła i pokój jakby pojaśniał.

Willis ją ubóstwiał i choć Ben poczuł ukłucie zazdro-

ści, nie mógł nie podziwiać, jak Julie potrafi owinać sobie człowieka koło małego palca.

Zauważyła Bena, uśmiechnęła się radośnie.

- Miło cię widzieć - zawołała ucieszona.

Willis odwrócił się gwałtownie, spoglądał wystraszony to na Julie, to na swego pracodawcę. Ben po raz kolejny zdał sobie sprawę, że pracownicy się go boją. Rzeczywiście, był bardzo wymagający i często wpadał w złość. A przecież ci ludzie nie zasługiwali na jego gniew, zwłaszcza że tak naprawdę wściekał się na samego siebie.

- Nie denerwuj się, Willis - powiedział łagodnie, wchodząc do cieplarni. - A najlepiej weź sobie wolny dzień.

- Sir? - Willis zrobił wielkie oczy.

- Weź wolny dzień - powtórzył Ben. - My tu jakoś sobie poradzimy.

Spojrzał na Julie. Cudownie się uśmiechała. Ben mógłby przysiąc, że na całym świecie nie ma nic piękniejszego niż ten jej uśmiech.

- Proszę o wybaczenie, sir - odezwał się wciąż wystraszony Willis - nie chciałbym okazać niewdzięczności, ale to Benson ustala moje obowiązki i może mu się to nie spodobać.

Ben podszedł do interkomu, nacisnął guzik, przyzywający Bena.

- Słucham, sir?

- Daj Willisowi wolny dzień. A najlepiej daj wolne wszystkim. Płatne.

- Nie bardzo rozumiem, sir.
- Czy macie do zrobienia coś, czego nie da się zrobić jutro?

- Obiad, sir.
- Z tym problemem sami sobie poradzimy. - Ben puścił oko do Julie. - Jeszcze coś?

- Nie, sir, ale...
- Na litość boską, czy naprawdę muszę was wyrzucić za drzwi?

Willis uśmiechnął się nieśmiało.

- Na to wygląda, sir. - Głos Bensona świadczył o tym, że jego właściciel jest ubawiony. - Jak pan każe, sir. Życzę miłego popołudnia.

Ben także życzył mu miłego dnia, po czym wyłączył interkom.

Willis skłonił się i pośpiesznie wyszedł, zdejmując po drodze krawat.

Julie zdjęła nogi ze stolika i wpatrywała się w Bena.

- Brawo - powiedziała. - Jestem pod wrażeniem.

Ben poczuł się zakłopotany faktem, że dotąd nie zwracał uwagi na potrzeby swych pracowników.

- Ciagle się tu kręcą - powiedział, jakby to był powód, dla którego dał służbie wolne.

- Siadaj - Julie poklepała miejsce obok siebie. - Podzielę się z tobą lunchem.

Usiadł obok niej.

- Nie masz pilnej roboty?

- Nie, wszystko zrobiłem. - Trochę ją oszukał. Zawsze

miał coś do zrobienia, ale tym razem nie było to nic pilnego. - Jestem genialny, nie wiedziałaś? - zażartował.

Jego żartobliwy nastrój nie zaskakiwał już tak bardzo, jak kilka dni temu, niemniej Julie cieszyła się, że Ben jest w dobrym humorze.

- Wiem to od bardzo dawna.

Przełamała swoją kanapkę, podała mu połowę, a potem odgryzła kawałek swojej. Ben podsunął bliżej jej talerz, wziął frytkę i odrobinę sałatki z krabów.

- Czemu opuściłeś swoją jaskinię?

- Myślałem, że wiesz.

- Nie mam pojęcia. A jeśli mi powiesz, że zrobiłeś to dla mnie, to ci nie uwierzę.

- Dlaczego?

- Bo kiedy próbowałam cię wyciągnąć na piknik, miałam wrażenie, jakbym wrywała ząb trzonowy.

Ben wzruszył ramionami. Nie mógł jej odpowiedzieć, nie odkrywając się przy tym za bardzo. Myślał o tym, czego tak bardzo chciał i czego sobie wzbraniał. Pragnął Julie i chciał, żeby jego przeszłość się nie wtrącała. Julie nie mogła poznać prawdy, bo natychmiast by wyjechała, a Benowi pękłoby serce.

- Dużo czasu spędzasz w cieplarni - stwierdził.

Popatrzyła na sufit z hartowanego szkła, przez który widać było niebo. Wentylator nawiewał chłodne powietrze, rozsiewał zapachy, otaczając ich kwiatową wonią.

- To tak jakby się było na dworze, tylko bez tych wszystkich nieprzyjemności.

- Rozumiem - Ben się uśmiechnął. - Komary, upał...
-I wścibscy reporterzy, czający się za płotem z teleobiektywem - dokończyła Julie.

- No właśnie - Ben się skrzywił.

Dojadł swoją połowę kanapki, lecz nadal był głodny. Julie chciała mu oddać swoją, ale się nie zgodził.

- Przecież wiem, że chcesz - żartowała, podsuwając mu kanapkę pod sam nos.

- Są też inne rzeczy, których chcę i to znacznie bardziej.

- Ooo? - Zabrakło jej tchu, gdy ujrzała jego rozmarzone spojrzenie.

- Na przykład twoje frytki - oznajmił, porywając frytkę z talerza Julie.

Uśmiechnęła się i prędko dokończyła swoją kanapkę.

- Ubrudziłaś się majonezem - zauważył.

Powoli oblizwała wargi, sięgnęła po serwetkę. Ben błyskawicznie się nad nią nachylił, jak drapieżnik, dopadający ofiarę.

- Ja się tym zajmę - mruknął i pocałował jej usta.

Julie nie była mu dłużna. Przytuliła się do niego, a potem pociągnęła go za sobą na sofę. Pragnęła go i dała mu to odczuć. Od lat o tym marzyła.

- Chcę cię dotykać, muszę - szeptał Ben, obsypując pocałunkami jej twarz, szyję i dekol. - Podniecasz mnie jak nic na świecie.

- To dobrze - ucieszyła się Julie. - Już myślałam, że nic cię nie ruszy z tego miejsca, w którym się zaszyłeś.

Gwałtownie uniósł głowę, popatrzył na Julie. Znów zobaczyła w jego oczach to, co zwykle: czarną rozpacz, groźną jak demon, gotowy, by uderzyć.

Natychmiast pożałowała swoich słów. Przywarła do niego całym ciałem, całowała mocno, chcąc wyrzucić tę ciemność z jego myśli, przywrócić chwilę, w której istniała wyłącznie namiętność.

Ben poddał się chętnie, zadowolony ze wszystkiego, co powstrzymywało poczucie winy przed kolejnym ukąszeniem, szczęśliwy, że może się sycić Julie.

Spróbował rozpiąć jej stanik. Julie nie tylko się nie broniła, ale podciągnęła bluzkę, żeby mu ułatwić zadanie.

Posadził ją sobie na kolanach, zdjął bluzkę i rozpięty już stanik. Całował ją i pieścił, patrzył, jak przeżywa rozkosz, czuł każde jej drgnienie, każdy oddech. Jakby znał jej ciało od zawsze, jakby doskonale wiedział, co zrobić, żeby doprowadzić ją na sam szczyt.

Julie oddychała ciężko, wpatrzona w szklany sufit. Dopiero po bardzo długiej chwili podniosła głowę, spojrzała na Bena.

- Dlatego odesłałeś ludzi? - spytała.

- Nie. - Uśmiechnął się do niej. - Choć muszę przyznać, że taka myśl przyszła mi do głowy.

Julie się uśmiechnęła. Pocałowała go. Płomień znów rozgorzał, jakby nigdy przedtem się nie dotykali. Rozrastał się jak pożar niesiony ogniem wśród suchych drzew. Tym razem Julie pieściła Bena.

- Przestań - jęknął, odsuwając ją od siebie.

- Dlaczego?

- Tak bardzo cię pragnę, że zaraz wybuchnę, ale nie możemy się dalej posunąć.

- Nie rozumiem. - Zdumiona Julie zamrugała powiekami. Zeszła z jego kolan, zebrała swoje rzeczy, ubrała się pośpiesznie. - No tak, rozumiem. Nie możesz sobie pozwolić na to, żeby się zbliżyć do mnie czy do kogokolwiek i nie chodzi tylko o seks.

Ben spuścił głowę i Julie zrozumiała, że trafiła w sedno. Zrobiło jej się żal tego smutnego człowieka, który najwyraźniej nie mógł dojść do ładu z samym sobą.

- Może moglibyśmy przechodzić na kolejne poziomy po jednym stopniu - zaproponowała.

Ben się zastanawiał. Widać było jak walczy z sobą: otworzyć drzwi trochę szerzej czy może raczej zatrzaskać. A potem się uśmiechnął, przytulił Julie, odgarnął rude włosy, opadające na oczy.

- Niech ci będzie - westchnął. - Jeden stopień dziennie.

Nie powiedział, że potrwa to tylko tak długo, póki ona będzie w Nine Oaks. Nie chciał psuć takiego pięknego dnia.

- Nie oczekuję cudów - zapewniła go Julie.

Ben pomyślał, że on właśnie tego potrzebuje. Niestety, nie zasługiwał na cud.

Coś się między nimi zmieniło. Żadne z nich o tym nie mówiło, ale Julie to czuła. Granica, jaką Ben sobie wyzna-

czył, stała się mniej widoczna, kiedy gotował obiad dla nich dwojga, a całkiem zniknęła, kiedy się śmiał i żartował jak przed laty.

- Nie chciałeś przejąć firmy po ojcu? - spytała Julie, gdy po obiedzie rozsiedli się na tarasie.

- Nie bardzo. Oczekiwano tego ode mnie, ale ja byłbym wybrał coś innego.

- Co, na przykład?

Ben wzruszył ramionami. Patrzył jak nad rzeką unosi się mgła, ale prędko odwrócił wzrok. Za bardzo mu to przypominało tamten wieczór, kiedy zmarła Lily.

- Sam nie wiem.

- Skoro nie miałeś nic na oku, a wcale nie twierdzę, że musiałeś mieć, to prowadź ten swój rodzinny interes. Świetnie sobie z tym radzisz.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? - zdziwił się Ben.

- Mam akcje twojej firmy.

- Nie wiedziałem. Już dawno nie przeglądałem listy akcjonariuszy.

- Ja nie jestem żadnym rekinem, mam tylko kilka udziałów.

Julie wyciągnęła się na leżaku, zerknęła na Bena. Przyglądał się jej. Starał się robić to ukradkiem, ale ona czuła na sobie jego spojrzenie. Odniosła wrażenie, jakby ją z kimś porównywał. I wtedy przypomniała sobie, co powiedział jej tamtej nocy w kuchni: że on wcale nie jest szlachetny, że nie opłakuje zmarłej żony, że Julie bardzo by się rozczarowała, gdyby poznała go trochę lepiej.

- Kochałeś Lily? - spytała.

Nie odpowiedział od razu. Jakby się zastanawiał.

- Nie - powiedział w końcu.

- To dlaczego się z nią ożeniłeś?

- Była w ciąży.

- Rozumiem.

- Poroniła. Kilka tygodni po ślubie.

- To bardzo smutne. Czy dlatego umarła?

- Nie. A czy musimy o niej rozmawiać?

„O niej” powiedział takim tonem, jakby miał w ustach paskudny smak, więc Julie zaczęła z innej beczki.

- We mnie można czytać jak w książce.

- Bujasz - Ben się roześmiał, ale nie było w tym radości. - Ty też masz swoje sekrety. Jak każdy.

Uśmiechnęła się do niego. Uniosła nogę, oparła szklanekę na kolanie.

- A co byś chciał wiedzieć?

- Skąd się biorą twoje nocne koszmary?

Mocniej zacisnęła palce na szklance, a potem wypić solidny łyk.

- Znowu krzyczałam?

- Niestety, tak.

Robiła dobrą minę, ale koszmary wciąż ją dręczyły. Każdej nocy krzyczała ze strachu, a ten krzyk rozdzierał Benowi serce. Tak bardzo chciał ją uwolnić od tych strasznych snów.

Julie odstawiła szklanekę z koktajlem, potarła dłońmi policzki. Ben wstał z leżaka i przysiadł się do niej.

Nie patrzyła na niego, więc uniósł jej głowę do góry, zmusił, żeby na niego spojrziała.

- To nie moja sprawa - powiedział - nie musisz mi się zwierzać.

Jednak już zobaczył w jej oczach, jak zbierają się wspomnienia i był na nie przygotowany. W każdym razie tak mu się zdawało.

Julie wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze, a gdy się odezwała, jej głos był obojętny, monotony, jakby opowiadała tę historię wiele razy. Zresztą pewnie tak właśnie było.

- Spotkałam się z Randallem kilka razy. Był bardzo miły, wydawał na mnie stanowczo za dużo pieniędzy, ale było w nim coś, co sprawiało, że ciarki przechodziły po plecach. Więc zerwałam z nim i wtedy wszystko się zmieniło.

- Zaczął cię prześladować? - domyślił się Ben.

- Nie od razu. - Julie usiadła prosto, skrzyżowała nogi.
- Pojawiał się w najdziwniejszych miejscach, ale ponieważ mieliśmy wielu wspólnych znajomych, trudno to było nazwać prześladowaniem. Tyle że bez przerwy wtrącał się do rozmowy, dotykał mnie, no wiesz, zachowywał się, jakby był moim narzeczonym. Nikt mu nie zwracał uwagi, ponieważ był lubiany, podziwiany i bogaty. Któregoś dnia nie wytrzymałam. Poszłam do niego. Chciałam mu powiedzieć, żeby się ode mnie odczepił. Całe mieszkanie było obwieszane moimi zdjęciami!

- Dobry Boże! - Ben był wstrząśnięty.

- No właśnie. Wszystkie zdjęcia pięknie oprawione. Wtedy zrozumiałam, że ten typ jest niebezpieczny.

Byłaby spadła z leżaka, ale Ben ją przytrzymał.

- Zgłosiłam to na policji, ale niewiele mogli zdziałać, bo przecież nic mi nie zrobił. - Westchnęła, oblizała wargi. - Rozzuchwalał się coraz bardziej, był coraz bardziej arogancki, jakby wiedział, że jest bezkarny.

- Chodził za tobą? Zaczepiał cię?

- Właściwie nie. - Julie pokręciła głową. - To właśnie było najgorsze. Kiedyś położył różę na fotelu w moim samochodzie. Byłoby to bardzo miłe, gdyby nie to, że ja wcześniej zamknęłam samochód. Nawet alarm się nie włączył. Policja podejrzewała, że zabrał moje kluczyki i zrobił sobie duplikat.

Julie uwolniła dłoń z uścisku Bena, przeczesała palcami włosy. Coraz bardziej się denerwowała. Chciał poprosić, żeby nic więcej nie mówiła, ale ona opowiadała dalej.

- Potem zaczęłam słyszeć różne odgłosy. W nocy. Wreszcie poszłam sprawdzić, co się dzieje. Okazało się, że okno jest otwarte, chociaż na pewno zamknęłam je wieczorem, zanim poszłam spać. Przez jakiś czas działy się takie rzeczy, aż pewnej nocy wszedł do mojej sypialni.

- Jakim cudem? - zapytał ostro Ben.

- Nie mam pojęcia. - Julie wzruszyła ramionami. - Obudziłam się w środku nocy i zobaczyłam, że ten psychopata stoi przy łóżku.

- O Boże, Julie, co zrobiłaś?

- Zaczęłam krzyczeć i uciekłam przez okno. Policja zna-

lazła pod oknem ślady butów. Kreeg był w mojej sypialni! Gapił się na mnie! - Wciąż prześladował ją po nocach strach, który wzbudził ten potwór.

- Dlaczego go nie aresztowali? - dopytywał się Ben.

- Było ciemno. Nie widziałam jego twarzy i nie mogłam stwierdzić, że to na pewno był on.

Mimo że wieczór był ciepły, Julie zdrząła. Ben przysiadł się bliżej, roztarł jej ręce i ramiona.

- Ale ty wiedziałaś, że to Kreeg, prawda?

- Wiedziałam. - Julie skinęła głową. Wtuliła się w Bena, jakby był miękką poduszką. - Wymieniłam zamki, zmieniłam numer telefonu i kazałam go zastrzec, ale kiedy pewnego dnia wyszłam spod prysznicza, Kreeg stał w łazience. Powiedział, że tu jest jego miejsce, że ja należę do niego.

- Dotknął cię?

Julie zacisnęła palce na dłoni Bena, jakby to była ostatnia deska ratunku. Ben posadził ją sobie na kolanach, przytulił.

- Julie?

- Tak, tak! Wszędzie. - Zamknęła oczy, starała się odpędzić wspomnienie obmacujących ją rąk tego osobnika.

- Zrobiłby... więcej, gdybym go nie pobiła. Uciekł, a ja zadzwoniłam na policję. Niestety, Kreeg przygotował sobie mocne alibi, którego nie dało się od razu obalić. - Julie miała nadzieję, że adwokat zdoła to zrobić podczas procesu. - Policjanci potraktowali mnie jak głupią histeryczkę z obsesją. Czułam się tak, jakbym to ja była zbrodniarzem. Wprawdzie zarządzili nocne patrole w okolicy mojego domu, ale ja tak się bałam, że w ogóle nie mogłam spać.

Głos jej drżał. Ben coraz mocniej ją do siebie przytulał. Nic więcej nie mógł w tej chwili zrobić.

- Na szczęście jeden z policjantów mi uwierzył - ciągnęła Julie - i po służbie, w swoim prywatnym czasie przesiadywał pod moim domem.

- Jak to się stało, że wreszcie złapali tego łobuza?

Julie wpatrywała się w swoją dłoń, na której Ben kreślił palcem małe kółeczka. To było takie kojące... Słowa popłynęły same.

- Przyłożył mi nóż do gardła - wyszeptała Julie. - Zaczaił się na podwórku. Dopadł mnie, kiedy wieczorem poszłam wyrzucić śmieci. Powiedział, że jeśli on nie może mnie mieć, to nikt mnie nie dostanie i zaciągnął mnie z powrotem do mieszkania. Policjanci byli na zewnątrz i wszystko widzieli, ale bałam się, że nie zdążą na czas. Zdażyli, ale on już mnie zaciął. - Odsunęła włosy z szyi, pokazała Benowi bliznę. Na głównej tętnicy!

Ben pocałował to miejsce, a Julie się rozpłakała.

- Pójdzie do więzienia - mruknął Ben. Z całego serca życzył sobie, żeby Kreeg słono zapłacił za swoje czyny.

- Nie mówmy o tym. Ja nie chcę. Już dosyć - szlochała Julie. - Pocałuj mnie, Ben. Nie masz pojęcia, jak bardzo cię potrzebuję.

Pocałował. Mocno, gorąco.

- Pragnę cię - powiedział.

Do szaleństwa, pomyślał.

- Ja też - westchnęła Julie, ocierając łzy. - Od dziewięciu lat.

- Ale ja jestem teraz innym człowiekiem.

- To bardzo dobrze - szepnęła.

Ben był innego zdania. Wstał, trzymając Julie w ramionach, niósł ją przez opustoszały dom.

- Czy idziemy tam, dokąd myślę? - spytała.

- Nie - zdecydowanie pokręcił głową. - Zaniosę cię do łóżka.

Skrzywiła się, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Mam spać sama? - dąsała się, gdy położył ją na łóżku i zaczął okrywać kołdrą.

- Sama - odparł stanowczo.

Pomyślał, że ta kobieta świętego potrafiłaby skusić. Bał się, że nie wytrzyma długo w swoim postanowieniu.

- Śpij, Julie - poprosił. - Miałaś dość emocji jak na jeden dzień; I nie bój się. Nikt ci nie zrobi krzywdy. Zostanę z tobą. - Przysunął sobie fotel, usiadł.

- A nie mógłbyś zostać bliżej? - marudziła Julie.

Ziewnęła szeroko. Ben zacisnął zęby. Bardzo chciał, żeby Julie zasnęła, nim on zgłupieje do reszty.

Na szczęście wypity wcześniej koktajl uspił Julie prawie natychmiast. Ben mógł się wreszcie wyciągnąć w fotelu, który był stanowczo za delikatny na jego potężne cielsko.

Kreeg znów wdarł się w jej sen, jakby tylko czekał na chwilę, kiedy stanie się całkiem bezbronna. Kręciła się, kopała, rzucała się i jęczała. Ben mógł sobie tylko wyobrazić, co jej się roi.

Wziął ją w ramiona, przytulił, przytrzymując walące

dziko pięści. Julie pisnęła załośnię, a Ben szeptał jej do ucha, że już nigdy nikomu nie pozwoli jej skrzywdzić.

Nie obudziła się, tylko płakała przez sen. Po chwili się uspokoila, wyszeptała jego imię.

Ben zacisnął powieki. Nie mógł jej wiele dać, co najwyżej swoją obecność, choć bardzo pragnął rzucić jej do stóp cały świat.

scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Julie schodziła ze schodów, ubrana w stary strój Suzannah do jazdy konnej. Zobaczyła Bena i jej serce od razu żywiej zabiło. Tylko on wprawiał ją w taki stan. Jego piękna twarz wystarczyłaby, żeby się zadurzyć, ale do Julie najbardziej przemawiały oczy. Zdawały się mościć w jej sercu i błagać o wybawienie z więzienia, na które sam się skazał.

Całą noc ją przytulał, pomógł jej przetrwać senny koszmar. Stał się jej portem w straszliwej burzy i Julie wymarzyła sobie, że mogłaby się stać bezpieczną przystanią Bena.

- Znów wychodzisz? - spytał, opierając się o poręcz.
- Zostało mi do obejrzenia z pięć hektarów twojej posiadłości.
- To przecież tylko pola.
- Tak, wiem, ale dobrze się na to patrzy.
- Chyba nigdy cię nie zrozumiem - westchnął Ben.
- Dla ciebie to normalny widok, ale to przecież niezwykłe, że jedzenie i ubranie od wieków hoduje się na tej samej ziemi.
- Strasznie dziwne rzeczy sprawiają ci przyjemność - z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Proste i nieskomplikowane. Nie jestem wymagająca. - Stała na ostatnim schodku. Teraz dorównywała Benowi wzrostem, mogła patrzeć mu w oczy bez zadzierania głowy do góry. - Pojedziesz ze mną?

Już wcześniej namawiała go na przejażdżkę, ale zawsze odmawiał. Tym razem jednak pragnienie bycia z nią sam na sam przeważyło wszystkie powody, dla których nie powinien tego robić.

- Może być za pół godziny? - Spojrzył znacząco na plik dokumentów, które miał ze sobą.

- Naprawdę? - Ucieszyła się Julie i zaraz cała wyjaśniała. - Poproszę pana Dobbsa, żeby ci osiódłał Pegaza. Mam na ciebie poczekać czy gdzieś się spotkamy?

- Spotkajmy się przy strumieniu. Znowu zanoszą się na deszcz, więc pewnie długo nie pojeździmy.

- Zadowolę się tym, co mogę mieć. - Pocałowała go delikatnie.

Ben przygarnął ją do siebie, dokumenty rozsypały się po podłodze. Całował ją namiętnie, tulił, jakby chciał się w nią wtopić.

Julie miała wielką ochotę zaciągnąć go do najbliższego pokoju i zrobić to, o czym marzyła od dziewięciu lat.

Usłyszeli znaczące chrząknięcie.

Ben odsunął się powoli. Ani myślał się spieszyć i bardzo mu się podobało, że Julie nie od razu otworzyła oczy, jakby wciąż smakowała pocałunek.

Dopiero po chwili oboje spojrzeli w stronę, z której dochodził odgłos.

Przy drzwiach stał Benson. Uśmiechał się, w wyciągniętej dłoni trzymał kask do konnej jazdy.

Julie starła z warg Bena swoją szminkę, a potem podeszła do Bensona, wzięła od niego kask.

- Czekam - powiedziała, obejrawszy się na Bena. Jej oczy prosiły, żeby nie zrobił jej zawodu.

Nie miał takiego zamiaru, ale gdy pół godziny później szedł do stajni, zobaczył jak osiodłany koń bez jeźdźca podąży w tę samą stronę.

Chwycił lejce, serce podskoczyło mu do gardła.

Podbiegł do niego Dobbs, wziął konia za uzdę, rozglądając się dookoła.

- Gdzie jest panna Julie, sir?

Ben popatrzył na konia, na stajnię, a potem na Dobbsa.

- Jeszcze nie wróciła? - zapytał ostrożnie, bo właśnie zdał sobie sprawę, że koń jest zdyszany.

- Jak pan widzi, sir. Koń przyszedł sam.

- O Boże!

Ben wpadł do stajni, wskoczył na swego ogiera i wypadł na dwór, nim Dobbs zdążył się znów odezwać. Na łeb na szyję pognał nad strumień. Przerazenie rosło w nim z każdym stuknięciem końskiego kopyta. Gałęzie chwytaly go za koszulę, a wyobraźnia podsuwała najstraszniejsze scenariusze.

Na niebie kłębiły się ołowiane chmury. Deszcz mógł spaść w każdej chwili, nawet zanim Julie się odnajdzie.

Leżała pod drzewem na plecach. Ben ściągnął lejce, koń zarył się w miejscu i Ben zeskoczył na ziemię.

- Julie! - przytulił ją do siebie. - Jak się czujesz? Co ci się stało?

- Nic, jestem cała i zdrowa. Tylko moja godność trochę ucierpiała.

Ben odetchnął z ulgą. Dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę z tego, ile ta kobieta dla niego znaczy i jak bardzo się o nią bał.

Musiał jej to natychmiast powiedzieć, ale nie znalazł odpowiednich słów, więc ją pocałował. Namiętnie i gorąco, żeby nie pozostawić cienia wątpliwości.

Julie była jak narkotyk, jak głęboka potrzeba w sercu, którą trzeba zaspokoić. Wiedział, że nigdy nie będzie miał jej dosyć.

- Trzy razy omal nie umarłem ze strachu o ciebie - powiedział, przerywając pocałunek tylko na tak długo, żeby przebrzmiały słowa.

Najpierw psy, potem rzeka, a teraz to, policzyła w myślach Julie.

- Nigdy więcej mi tego nie rób - zażądał, patrząc jej prosto w oczy.

- Przepraszam - usprawiedliwiała się, bo przeraził ją strach, czający się w jego oczach. - Przecież nie chciałam.

- Och, wiem - jęknął. - To ja przepraszam. Nie wiem, czemu na ciebie krzyczę. Pewnie ze strachu.

- Zaczepiłam się o gałąź i zsunęłam z siodła - tłumaczyła się Julie.

Ben obsypywał jej twarz pocałunkami, ale marzył o tym, żeby ją posiąść, teraz, tutaj, na gołej ziemi.

- Bogu dzięki, że koń cię nie zrzucił.
- Powiedz to mojej pupie. - Julie uśmiechała się filuternie.

- Mam rozmasować? - zapytał żartem Ben.
- Oj tak, bardzo proszę. - Julie aż westchnęła na samą myśl o pieszczocie.

Ben położył dłonie na pośladkach Julie i zaczął delikatnie masować.

- To otwiera drzwi, Julie - przestrzegł ją.
- One już od dawna są otwarte. - Położyła swe drobne dłonie na policzkach Bena, pocałowała go delikatnie.
- Przestań wreszcie pukać i wejść.

- Dobry Boże, nie powinienem tego słuchać - szepnął.
Julie DeLongpre nie oparłby się żaden mężczyzna. Ben objął ją i namiętnie pocałował. Tymczasem niebo nad nimi stało się ołowiane, a za-rzeką rozległ się grzmot.

Przestali dopiero wtedy, kiedy lunął ulewny deszcz. Ben wsiadł na konia, pomógł wsiąść Julie, posadził ją przed sobą bokiem, jakby jechała na damskim siodle.

- Znowu zmokniemy - mruknął, namiętnie całując jej usta.

- To tylko woda - powiedziała, na momencik przerywając pocałunek.

Dla Julie wszystko jest takie proste, pomyślał Ben i pognał konia do domu.

Rytm końskich kroków sprawił, że usadowiona bliżutko Bena Julie coraz bardziej go podniecała. Poruszył się, mruknął coś pod nosem.

- Ciężko ci?
 - Nie, tylko strasznie mnie podniecasz.
 - Czuję - puściła do niego oko. - Zaraz będziesz gotów.
- Deszcz lał jak z cebra, ale oni nie zwracali na to uwagi.

Byli całkowicie pochłonięci sobą.

- Więc mnie uratuj - poprosił.

Nie był to tylko żart, nie tylko zaproszenie do namiętnego seksu, ale rozpaczliwe błaganie o pomoc. Od lat odmawiał sobie zwykłych, codziennych przyjemności, odmawiał sobie ludzkiego towarzystwa i chyba wreszcie miał tego dosyć.

Julie go pocałowała. Tylko tyle mogła zrobić w tej chwili.

Namiętność znów ich ogarnęła, poniosła na podniebne wysokości. Jeśli Julie miała jeszcze jakieś wątpliwości, to spłynęły one razem z oblewającym ich deszczem i razem z deszczem wsiąkły w ziemię.

Obawiała się, że Ben znów ją zrani, tak jak kiedyś, ale tym razem była na to przygotowana. Gotowa była zaryzykować swoje serce, byleby tylko wywabić Bena z jego samotni.

Puścił lejce, żeby móc ją pieścić. Na końskim grzbiecie trzęsło, ale oni się śmiali i całowali na przemian.

- Jak tak dalej pójdzie, wylądujemy w błocie - mruknął Ben.

- Czysta perwersja - odparła Julie, nie przestając go całować.

Ben popatrzył jej w oczy. Wyczytała w nich pytanie, czy naprawdę chce, aby to, co się między nimi zaczęło, zaszło dalej. Odpowiedziała mu pocałunkiem. Żadne z nich nie potrzebowało słów.

Im bliżej stajni, tym szybciej szedł Pegaz. Ben oderwał się od Julie, wziął w ręce lejce. Po chwili zatrzymał konia, zsadził Julie, zeskoczył i podał lejce nadbiegającemu Dobbsowi.

- Bogu dzięki jest pani cała - ucieszył się stajenny.

- Tym razem mi się udało. - Julie spojrzała na niego z sympatią. - Dziękuję, panie Dobbs.

Ben pospiesznie stanął za nią.

- Nie ruszaj się, błagam - szepnął jej do ucha.

Zerknęła na niego przez ramię, uśmiechnęła się, poczuwszy, jak dowód ich pieszczot wciska się w jej pośladki.

- Czy ja ci to zrobiłam? Swojemu wybawcy?

- No właśnie - mruknął. - Wszystko, co robisz, mnie podnieca.

Dobbs, nieświadom tego, co się z nimi dzieje, wziął lejce i zaprowadził konia do stajni.

- Znosi się na straszną burzę - powiedział na odchodnym. - Niech państwo wracają do domu, zanim na dobre się rozpęta. No i trzeba zmienić te mokre stroje, bo się pochorujecie.

- Oczywiście - zgodził się Ben, puszczać oko do Julie. Oczami duszy widział, co się stanie, jak tylko zdejmą z siebie ubrania.

- Idziemy. - Julie się uśmiechnęła i ruszyła biegiem w stronę domu.

Ben pognał za nią. Dopadł ją w szatni, przyciągnął do siebie i całował jak szalony.

- Tutaj? Fajnie - ucieszyła się, próbując ściągnąć ubłocone buty.

- Zwariowałaś? Jasne, że nie tutaj. Tylko widzisz, musisz cię dotykać. Nie umiem się opanować.

Kiedy już byli boso, Ben wziął ją za rękę, pociągnął dalej do domu. Na chwilę zatrzymał się w bocznej sieni, rozejrzał dookoła.

- Jakiś ty milutki - zartowała Julie. - Dbasz o moją reputację.

- Trzeba było wszystkim dać wolne - mruknął Ben.

- Zrób to. - Położyła dłoń na jego płaskim brzuchu.
- Obawiam się, że będę głośno krzyknąć.

- O Boże - jęknął Ben.

Wziął ją na ręce i z tym słodkim ciężarem wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie na raz.

Julie się śmiała, ale uciszył ją pocałunkiem, postawił na górnym podejściu. Stała na palcach, wtulając się w niego całym ciałem, przyciskając Bena do ściany. Jego dłonie zajęły się odkrywaniem na nowo kształtów Julie, a ona tymczasem wyciągnęła mu koszulę ze spodni, położyła dłoń na nagim torsie.

Na dole rozległy się czyjeś głosy.

- Znowu ktoś tu się kręci - mruknął Ben.

Pociągnął ją za sobą do zachodniego skrzydła, do podwójnych drzwi największej sypialni. Jego sypialni.

- Jesteś pewna? - zapytał, zatrzymawszy się przed jeszcze zamkniętymi drzwiami. Tak bardzo o nią dbał, tak się troszczył, choć może inaczej, niż Julie by sobie tego życzyła. - Potem już nic nie będzie tak samo.

Julie ani przez chwilę się nie wahała. Nie widziała ani

antyków, ani całej reszty bogatego wyposażenia. Widziała wyłącznie Bena.

Była absolutnie pewna. Nawet gdyby poza tym jednym razem już nic więcej nie miało się zdarzyć, to te chwile, najdroższe i wymarzone będzie mogła wspominać do końca życia.

- Ja jestem pewna, a ty?

- Jak się bardzo postaram, to wszystko sobie racjonalnie wyperswaduję, ale tak bardzo cię pragnę... - Nie dokończył zdania, musiał ją pocałować. Tak przy tym manewrował, że otworzył drzwi i już po chwili znaleźli się w sypialni. Ben zamknął drzwi nogą, byleby nie wypuścić Julie z objęć.

Coś się zmieniło. Julie poczuła, jak zadrżał, jakby siłą powstrzymywana dotąd moc wyrwała się spod kontroli. I wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle: mokry, ubłocony, potargany... Prawdziwy! Ani trochę nie przypominał onieśmielającego eleganckiego potwora, jakim był tydzień temu.

- Podobasz mi się taki - powiedziała, przyciągając go do siebie za pasek od spodni. - Brudny i uspokojony.

- Daleko mi do spokoju - wyznał.

- Naprawdę? - rozpięła mu pasek.

- Mam wrażenie, jakbym się miał rozpeknać. - Ben pogłaskał ją po włosach, położył dłonie na jej policzkach, pocałował ostrożnie. - Nie mogę dłużej czekać - szepnął. - Nie mogę.

Rozebrał Julie przy jej wydatnej pomocy, a potem zdjął koszulę, nie kłopotząc się rozpinaniem guzików.

Julie zamarła na widok jego umięśnionego, cudownie zbudowanego ciała.

- A więc jednak nie cały czas spędzasz za biurkiem - powiedziała z niekłamany podziwem w głosie.

- Mam bardzo dużo wolnego czasu - mruknął, tuląc ją do siebie.

Julie pomyślała, że Ben w tej chwili należy do niej. Stał się jej więźniem i zamierzała to wykorzystać.

- Zdaje mi się, jakbym czekała na to całą wieczność - westchnęła.

- Ja też.

Kochali się bez zahamowań, bez zastanowienia i bez zbędnego pośpiechu. Z każdym pocałunkiem, z każdym westchnieniem objawiał się Julie nowy człowiek, a raczej nie nowy, tylko tamten, którego znała, nim los tak okrutnie obszedł się z jego sercem.

Ben wykrzyczał jej imię, a potem opadł na nią, oddychając ciężko, mokry od potu. Serce go bolało od uczuć, którym wolał nie przyglądać się zbyt dokładnie. Całował jej włosy, policzki, a kiedy spojrzał na Julie, zobaczył, że ma łzy w oczach.

- Julie?

- Od początku wiedziałam, że to będzie właśnie takie - szepnęła.

Położyła głowę na jego ramieniu, westchnęła i w tej samej chwili Ben poczuł się wolnym człowiekiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ben stał na balkonie przy swojej sypialni, a w jego sercu szalała burza. Zerknął do pokoju, na łóżko.

Klimatyzacja poruszała zasłonami, ukazując uśpioną małą piękność.

Co ja najlepszego zrobiłem, pomyślał.

Nie żałował tego, co się stało. Ich miłość była zupełnie inna od wszystkiego, czego w życiu doświadczył, a Julie w niczym nie przypominała żadnej ze znanych mu kobiet. Dokładnie tak, jak się spodziewał, tak jak to przewidział dziewięć lat temu.

Pochłonęła go całego i teraz już nie mógł myśleć o niczym, prócz tego, żeby znów ją mieć, a potem znowu i jeszcze, jeszcze, bez końca. Zawsze. Mógłby z nią spędzić resztę życia i nigdy nie miałby dosyć tej jej słodkiej, tętniącej życiem energii.

O poranku przyjdzie rzeczywistość, pomyślał. Ale nie miał ochoty o tym myśleć, nie chciał zatruwać tej czarownej nocy jadem przeszłości.

Wrócił do łóżka. Julie przytuliła się do niego i objęła za szyję.

Kochał się z nią gwałtownie, jakby od lat nie miał ko-

biety. Bał się nawet, że zrobi jej krzywdę, ale Julie odpowiadała namiętnie, bez śladu niechęci. W jej spojrzeniu była namiętność i jeszcze coś, coś za czym bardzo tęsknił i do czego nie miał prawa.

Ben stał w nogach łóżka. Zapinał koszulę i przyglądał się Julie.

Przespała spokojnie całą noc. Zapewne po raz pierwszy, odkąd Kreeg wtargnął w jej życie. Ben bardzo się z tego cieszył, mimo to jednak uważał, że źle zrobili. Że on postąpił niegodnie.

Wiedział, że Julie będzie cierpieć. Już teraz nienawidził się za to. A przecież nie mógł wyjechać z Nine Oaks, nie miał prawa wracać do życia, jakie wiódł przed śmiercią Lily.

Julie otworzyła oczy, uśmiechnęła się do niego.

- Dzień dobry. - Uklękła na łóżku naga, różowa. Benowi serce omal nie wyskoczyło z piersi. Wiedział, że nigdy nie będzie miał jej dosyć i wiedział także, że ona chce od niego więcej, niż mógłby dać. - Już się ubrałaś?

- Mam sporo pracy - usprawiedliwił się, jak zwykle.

- A nie mógłbyś wziąć jeszcze jednego dnia wolnego?

- Złapała go za pasek od spodni, przyciągnęła do siebie.

- Julie, w nocy...

- Było rewelacyjnie.

- Tak, wspaniale, tylko...

Julie go puściła. Poczowała cios, zanim na nią spadł.

- Co „tylko“?

- Uważam, że to był błąd - powiedział cicho, na wszelki wypadek nie patrząc na Julie.

Wstała błyskawicznie, owinęła się prześcieradłem.

- Jak możesz tak myśleć! - wybuchnęła.

- Namiętność to nie wszystko... - zaczął, ale Julie nie dała mu dokończyć myśli.

- Na początek wystarczy. Zresztą, kto ci powiedział, że nie ma nic ponadto? Naprawdę nie wiesz, co do ciebie czuję?

Proszę cię, nie mów nic więcej, pomyślał Ben. Błagam, nic więcej nie mów!

- To nie ma znaczenia - skłamał.

- Czyżby? Dlaczego?

- Ponieważ ja się nie ruszę z Nine Oaks, a ty pewnie tego po mnie oczekujesz.

- Nie mów mi, co myślę i czego chcę - prychnęła, czerwona ze złości. - Owszem, chciałabym, żebyś stąd wyjechał, ale nie dla mnie, tylko dla twojego własnego dobra.

- Julie, ja... - próbował coś wtrącić, lecz Julie na niego nie zważała.

- Boże, jakiś ty tępy! - krzyczała coraz głośniej. - Tak, chcę, żebyś wrócił do świata. Chcę tego, bo widzę, że nie jesteś tu szczęśliwy i nie będziesz, póki nie stawisz czoła temu, co jest za płotem. Stanowczo za długo się ukrywasz. Ta twoja Lily zrobiła coś podłego, chciała, żebyś był właśnie taki. W tej chwili strasznie jej za to nienawidzę.

Ben milczał.

Julie poczuła, jak znów rośnie emocjonalny mur, jak

odgradza ich od siebie. Zabolało. Straszliwie. Serce płu-
ło, oczy piekły...

- Niech cię diabli porwą, Ben! - jęknęła. - To nie mu-
siało się tak skończyć.

Jej łzy go zabijały, każda z nich wcinała się głęboko
w duszę. Chciał, żeby to się skończyło inaczej, serdecznie
żałował, że dziewięć lat temu posłuchał rozumu, nie po-
szedł za głosem serca. Teraz, patrząc w oczy Julie, czuł, jak
rozdziera mu się serce.

Udrapowała prześcieradło jak togę, boszo szła w stro-
nę drzwi.

- Julie! - zawołał za nią Ben.

- Niech cię diabli porwą, Ben - powtórzyła. Wyszła
i zatrzaskała za sobą drzwi.

Już mnie porwali, pomyślał. Na moją własną prośbę.

Julie biegła korytarzem, zakrywając dłonią usta. Chcia-
ło jej się wyć.

Wpadła do swego pokoju, zatrzaskała drzwi i oparła się
o nie plecami. Łzy ciekły strumieniem, i nawet ich nie ocie-
rała. Padła na podłogę, łkała. Płakała za człowiekiem, jakim
był kiedyś Ben, za tym, którego miała w ramionach, z któ-
rym spędziła minioną noc. Płakała za namiętnością, jakiej
doświadczyła i jakiej pewnie już nigdy nie doświadczy.

Musiała pogodzić się z tym, że miniony tydzień był tyl-
ko wakacjami od rzeczywistości, że Ben już na zawsze zo-
stanie w tej swojej przeklętej jaskini.

Ben usłyszał brzęk porcelany, podniósł głowę znad dokumentów. Benson postawił na jego biurku tacę. Ze znacznie większym impetem, niż by należało.

- Czy życzy pan sobie coś jeszcze, sir? - zapytał swym zwykłym służbowym tonem, od którego Ben już zdążył się odzwyczaić.

- Nie, Benson, dziękuję. - A ponieważ Benson nie odchodził, tylko patrzył na niego jakby z obrzydzeniem, zapytał: - Masz mi coś do powiedzenia?

- Tak, sir - odparł Benson.

- Słucham - zachęcał go Ben.

- Jest pan dupkiem, sir - oświadczył Benson tym samym służbowym tonem.

Ben spojrzał na niego zdumiony.

- Pozwolił pan tej przeklętej Lily ponownie zrujnować sobie życie - mówił Benson, ale tym razem normalnie, jak bardzo zdenerwowany przyjaciel. - A teraz jeszcze pozwolił jej pan zrujnować życie panny Julie.

- Widziałeś ją? - Ben nie widział Julie od dwóch dni. Unikali się, choć jedyne, czego Ben naprawdę pragnął, to być blisko niej. Niestety, nie miał jej nic nowego do powiedzenia.

- Owszem, widziałem - miotał się Benson. - Przed chwilą była w sali gimnastycznej. Rozbijała w proch worek treningowy.

- Jeszcze coś, Benson? - Ben spojrzał spode łba na starego lokaja. - Bo coś mi się zdaje, że masz dzisiaj dzień wyrażania uczuć.

- Nic, co mógłbym powiedzieć w eleganckim towarzy-

stwie, sir - odparł Benson i wyszedł, głośno zamykając za sobą drzwi.

Ben rzucił pióro, schował twarz w dłoniach. Świetnie, pomyślał.

Wyszedł z gabinetu, pomaszerował prosto do sali gimnastycznej, gdzie, jak to określił Benson, Julie rozbijała w proch worek treningowy.

Kiedy wszedł, na chwilę przerwała objanie worka, spojrzała na Bena i zaraz wróciła do bicia.

- Julie - zaczął niepewnie Ben. Nadal nie miał pojęcia, co właściwie powinien jej powiedzieć.

- Na twoim miejscu bym się nie zbliżała - ostrzegła go Julie.

- Wykorzystałem cię, przepraszam. Ja...

- Jeśli znów zaczniesz mnie przepraszać za to, że się ze mną kochałeś, to stłukę coś bardzo kosztownego - warknęła. - A jeśli chodzi o ścisłość, to wykorzystaliśmy się nawzajem. I wiesz co? - Podeszła do niego, zgrzana, zdyszana. Benowi przyszło do głowy, że bezpieczniej byłoby się uchylić. - Bardzo mi się to podobało. Każda pojedyncza chwila. Niczego nie żałuję.

- Ja też nie!

- Więc dlaczego przepraszasz?

- Bo uważam, że zrobiłem ci krzywdę - powiedział bardzo cicho.

- Sam sobie robisz krzywdę i sam siebie okłamujesz. Wielki, silny, bogaty i potężny Ben Blackmon pozwala się prześladować duchowi.

- A ty pozwalasz się prześladować Kreegowi - odpowiedział Ben.

- Kreeg nie przeszkadza mi cieszyć się życiem - zawołała Julie - tylko nie pozwala mi spać spokojnie.

Podniosła dłoń w boksyerskiej rękawicy, rozsznurowała ją zębami. Ben podszedł całkiem blisko, pqmógł jej zdjąć rękawicę.

- Marnujesz sobie życie - prychnęła Julie.

- To moje życie - burknął. - Mogę z nim zrobić, co zechcę.

- A co będzie ze mną, Ben? - Patrzyła na niego ze łzami w oczach. - Czy ja naprawdę nic dla ciebie nie znaczę?

- Jesteś dla mnie wszystkim.

W sercu Julie zabłysła iskierka nadziei.

- Więc opowiedz mi o Lily i o tej spróchniałej łodzi na brzegu rzeki.

Ben zamarł. Patrzył na Julie niewidzącymi oczami.

- Nigdy!

- Dlaczego?

- Bo nie! - Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Julie opadły ręce, rzuciła rękawicami o ścianę, wytarła twarz ręcznikiem. Mimo wszystko nie chciała dać za wygraną.

Wyszła z sali gimnastycznej, nasłuchując głosu Bena albo choć jego kroków.

Znalazła go na werandzie. Stał z dłońmi zaciśniętymi na kamiennej poręczy, z głową wtuloną w ramiona, jakby jakiś wielki ciężar przygniatał go do ziemi.

- Rozumiem, że musiałeś się odciąć od świata - odezwała się Julie. - Ja zrobiłam to samo. Ale chyba już czas wrócić i stanąć do walki.

- Proszę cię, Julie, daj spokój - jęknął zboląły Ben.

- Nie zostawiaj mnie samej - poprosiła cichutko. Łzy nie pozwalały jej mówić głośniej. - Zostawiłeś mnie dziewięć lat temu. Nie rób tego po raz drugi.

Kochała go. W tej chwili była tego absolutnie pewna.

- Nie mogę, Julie - tłumaczył Ben. - Nawet sobie nie wyobrażasz, co zrobiłem.

- Więc mi o tym opowiedz - nie ustępowała Julie. - Na wszystko jest jakiś sposób, więc i z tym jakoś sobie poradzimy. Nie wiesz, że co dwie głowy, to nie jedna?

Paskudna przeszłość ciągnęła go z powrotem do gabinetu, żądała, by wrócił do trybu życia, jaki prowadził, nim Julie ponownie zjawiła się w jego domu. Nie chciał tego. Pragnął, by Julie z nim została. Była dla niego oddechem, pozwalającym przeżyć kolejny dzień.

- Odezwij się do mnie, Ben - poprosiła.

- To nie ma sensu, Julie. - Ben pokręcił głową. I tak odejdzie, pomyślał. A jeśli jej powiem, odejdzie i będzie mną pogardzać. - Nie mogę ci dać tego, czego pragniesz. Nie opuszczę Nine Oaks, a nie mogę cię prosić, żebyś tu została.

- A gdybyś mnie jednak poprosił? Jak myślisz, co bym odpowiedziała?

- To byłoby zbyt okrutne, kochanie. - Pogłaskał ją po głowie. - Jesteś taka energiczna, taka żywa.

- Tamtej nocy ty też taki byłeś - wypaliła bez namysłu.

Uśmiechnął się leciutko, popatrzył w smutne oczy Julie i zapragnął skończyć z pustelniczym trybem życia.

- Ja stąd nie wyjadę - oświadczył stanowczo, wbrew własnej woli.

- Wobec tego ja to zrobię. - Julie cofnęła się o krok. - Wyjeżdżam. Jutro rano.

- Decyzja należy do ciebie. - Potworny ból w sercu sprawił, że słowa zabrzmiały łagodnie.

Ben patrzył w ślad za odchodzącą Julie i myślał, że oto jedyna szansa nie tylko na normalne życie, ale na coś nadzwyczaj cudownego właśnie prześlizguje mu się przez palce.

Julie odłożyła słuchawkę, powrócił dawny strach. Szła korytarzem bez celu, obejmując się ramionami. Na dworze szalała burza, to samo działo się w jej sercu.

- Kto dzwonił? - zapytał Ben, który ni stąd, ni zowąd stanął jej na drodze.

- Nikt - odparła, przystając, ale nie chciała na niego patrzeć. - Daj mi spokój.

- Ja tylko chcę ci pomóc. - Dotknął jej ramienia.

Julie drgnęła, popatrzyła na Bena.

- Powiedz mi, co się stało? - spytał, dostrzegłszy w jej oczach strach. - Coś złego?

- Dzwonił mój adwokat - powiedziała, wpatrując się w podłogę. - To znaczy ten, którego ty wynająłeś. Jutro zaczyna się proces.

- To dobrze - ucieszył się Ben. - Wkrótce będzie po wszystkim.

- Wypuszczą go! - krzyknęła histerycznie Julie. - Ten koszmar nigdy się nie skończy!

Odeszła, Ben został sam w wielkim holu. Przyglądał się, jak Julie wbiega na górę po schodach.

W chwilę później był w swoim gabinecie, dzwonił do adwokata. Okazało się, że Julie nie chce zeznawać. A jeśli nie będzie zeznawać, Kreeg odzyska wolność. Przez całe życie będzie się musiała oglądać za siebie, będzie się bała i w końcu odetnie się od świata. Stanie się więźniem, tak samo jak on. Nie mógł na to pozwolić.

Pobiegł do jej pokoju, wszedł bez pukania.

- Musisz złożyć zeznanie - oznajmił.

- Nie muszę - prychnęła Julie.

- Kreeg popełnił przestępstwo - nalegał Ben. - Musisz go wsadzić za kratki.

- Fakty mówią same za siebie. Jeżeli one nie wystarczą, to i ja nic nie pomogę.

- Twoje zeznanie uwiarygodni fakty.

- Nie mogę! - krzyknęła. - Zrozum!

Ben podszedł do niej, ukląkł przy fotelu, zmusił Julie, by na niego spojrzała.

- Boisz się - stwierdził.

- Nie mogę na niego patrzeć! Nie mogę! Dotykał mnie! Chciał mnie zabić! Ma świetnych adwokatów i mnóstwo forsy. Poradzi sobie. A ja jestem nikim.

- Nieprawda - zaprzeczył Ben z całą stanowczością. - Ty możesz go wsadzić do więzienia. Tylko ty, nikt inny.

Julie pokręciła głową. Ben zrozumiał, że odzyskany ostatnio spokój prysnął jak bańka mydlana.

- Nie możesz się teraz schować. Jeśli teraz nie pošlesz go do więzienia, to już nigdy nie będziesz bezpieczna. - Z trudem przełknął ślinę. - Staniesz się więźniem jak ja.

- To wcale nie jest zły pomysł - odparła Julie. Nareszcie spojrzała mu prosto w oczy.

- Fatalny - zaprotestował Ben. - Nie dopuszczę do tego.

- Ciekawe, jak chcesz to zrobić?

- Pojadę z tobą.

- Coś ty powiedział? - zdumiała się Julie. Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Ben odetchnął głęboko. Odezwał się dopiero po długiej chwili milczenia.

- Pojadę z tobą do sądu i ani na moment cię nie opuszczę - oświadczył z mocą.

Julie oniemiała. Dopiero po chwili dotarł do niej sens tych słów.

A więc wyjedzie z Nine Oaks? Przerwie pięcioletnią samotność? Dla mnie?

- Masz pojęcie, co się stanie, kiedy pojawisz się publicznie? Twoja obecność wywoła większą sensację niż sam proces.

- Dziennikarze będą się zajmować mną, a nie tobą. To chyba dobrze?

- Ale dlaczego? Dlaczego chcesz to zrobić?

- Musisz być bezpieczna. Zrozum, Julie, jeśli nie złożysz zeznania przed ławą przysięgłych, to sędziowie wy-

puszcza tego drania i będzie mógł zrobić innej kobiecie to samo, co zrobił tobie.

- Ben... - Julie się rozpłakała.

- Będę przy tobie, małeńka, przysięgam. Obronię cię.

Przytuliła się do niego, wzruszona do głębi serca.

Właśnie w tej chwili Ben zdał sobie sprawę z tego, że szczęście Julie jest dla niego ważniejsze niż jego własne.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy Ben Blackraon wracał do prawdziwego świata, robił to w wielkim stylu.

Na trawniku przed domem w Nine Oaks wylądował helikopter; Ben i Julie polecili na lotnisko, gdzie wsiadli do odrzutowca, który przeniósł ich do Kalifornii.

- Nie wierzysz własnym oczom, co? - zapytał Ben z uśmiechem.

- Ty nigdy nie latałeś tym samolotem, prawda? - Julie rozglądała się po luksusowej kabinie.

- Nigdy - przyznał Ben. - Ale Suzannah go używa i moi pracownicy.

Dla mnie jednak zdecydował się polecieć, pomyślała uszczęśliwiona Julie.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że postanowił przerwać pięcioletnie odosobnienie tylko po to, żeby być przy niej, żeby ją chronić. Już przedtem go kochała, ale teraz kochała go jeszcze bardziej.

- Ja w ogóle nie przepadam za lataniem - wyjaśnił.

- Mimo to świetnie sobie radzisz - pochwaliła. - Zobacz, już lądujemy.

Gdy tylko wyszli z samolotu, zostali otoczeni przez dziennikarzy i fotoreporterów.

- Widocznie już się rozniosło, że tu będziesz - powiedziała Julie, a Ben tylko się uśmiechnął.

Objął ją ramieniem, zaprowadził do czekającej na nich limuzyny. To był ten inny Ben, ten, który rządził światem i wymagał posłuszeństwa. Błyskały flesze, ludzie coś krzykali, a mimo to Julie czuła się bezpieczna.

Ben wprowadził ją do gmachu sądu, a potem oddał pod opiekę adwokatom, najlepszym z najlepszych. Sam ich wybrał i sownie opłacił.

Julie zamarła, kiedy zobaczyła Kreega, wchodzącego na salę sądową.

Jego wzrok padł na Bena i bezczelny uśmiech zadowolonego z siebie bogacza zgasł w jednej chwili. Randall Kreeg V zbladł, odwrócił się do swoich adwokatów i coś im szeptał gorączkowo.

Julie spojrzała na Bena. Wpatrywał się w Kreega i miał mord w oczach. Pociągnęła go za rękę. Popatrzył na nią i groźną minę zastąpił ciepły uśmiech.

- Bądź dzielna - szepnął, całując ją w policzek. - Ja cały czas tu będę. Ten łotr już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

Proces się rozpoczął, przedstawiono dowody. Adwokaci, których zaangażował Ben, byli rewelacyjni, a prywatny detektyw wydobył na światło dzienne sporo faktów z przeszłości Kreega. Okazało się, że Julie nie

była pierwszą kobietą, jaką dręczył; niektóre nawet sta-
wiły się w sądzie, żeby złożyć obciążające prześladowcę
zeznania.

Julie zrobiło się słabo, kiedy nadeszła jej kolej. Nie spuszczała oka z Bena. Był jej kotwicą, źródłem siły. Tylko dzięki niemu adwokatom Kreega nie udało się jej pognebić.

W końcu ława przysięgłych udała się na naradę, a Ben z Julie do apartamentu w pobliskim hotelu.

Julie prawie się nie odzywała, tylko z wdzięcznością przyjmowała jego opiekę.

- Powinnaś teraz odpocząć - powiedział, gdy znaleźli się sami.

- Chciałabym, żeby już było po wszystkim - mruknęła, nie ruszając się z kanapy.

- Niedługo będzie - odparł Ben, spoglądając na zegarek.

- Dlaczego to tak długo trwa? - niecierpliwiła się Julie.

- Wcale nie tak długo - uspokajał ją Ben. - Minęła dopiero godzina. Za to ja bym tylko chciał wiedzieć, co z obiadem.

Na te słowa Julie się uśmiechnęła i Ben także. Dla towarzystwa. Usiadł obok niej na kanapie.

- Dziękuję - powiedziała.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł z kurtuazją.

- Chyba nie było tak strasznie, co? - chciała wiedzieć Julie.

- Nie zamknąłem się w domu przed prasą ani ciekaw-

skimi ludźmi - odparł Ben po chwili zastanowienia. - Odseparowałem się od świata, bo nie chciałem wyładowywać swoich humorów na obcych ludziach.

- Widziałam te twoje humory. - Julie wzruszyła ramionami. - Nie są takie najgorsze.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem. W końcu on sam najlepiej znał prawdę.

- W każdym razie dla mnie byłeś bardzo dobry - zapewniła go Julie.

- No cóż. - Ben uśmiechnął się pod wąsem. - Tobie trudno się oprzeć i nie można cię trzymać na dystans.

- Chcesz powiedzieć, że jestem namolna?

- To chyba właściwe słowo.

Julie się roześmiała. Nareszcie się wyprostowała. Przedtem siedziała zwinięta w kłębek w najdalszym kącie kanapy.

- Ty już poznałeś paskudne wydarzenia z mojego życia - zaczęła - więc może byś mi wreszcie opowiedział o swoich.

- Proszę cię, Julie, zrozum. - Ben przyglądał się swym złożonym dłoniom. Na samą myśl o przestępstwie, jakie popełnił, rozpętało się w jego duszy prawdziwe piekło. Poczucie winy, ten paskudny stwór, ani na chwilę nie przestawało go dręczyć.

- Proszę cię - nalegała Julie. - Chciałabym zrozumieć. Bez tego nie zdołam ci pomóc.

- Chcesz prawdy? - spytał ostro. - Naprawdę tego chcesz?

- Naprawdę.

- Zabiłem swoją żonę, Julie - oświadczył drżącym z emocji głosem. - Czy takiej prawdy się spodziewałaś?

- Co takiego? - Julie aż się cofnęła. - Nie, to nie może być prawda.

- Pozwoliłem jej wypłynąć, choć wiedziałem, że nie umie żeglować!

Chciał wstać, ale Julie pociągnęła go z powrotem na kanapę.

- Chwileczkę. - Dotknęła policzka Bena. Jego umęczone spojrzenie omal nie złamało jej serca. - Oddychaj głęboko.

Zrobił, co kazała, przeczesał palcami włosy.

Teraz albo nigdy, pomyślał. Ciągle to odkładał, ale dłużej już nie mógł. Nie chciał stracić Julie. Nie teraz.

- Już ci mówiłem, że ożeniłem się z Lily, ponieważ była ze mną w ciąży - zaczął. - Nie kochałem jej i ona o tym wiedziała. To była krótka znajomość, a zniszczyła życie i jej, i mnie.

- Ale ona ciebie kochała, prawda?

- Kochała. Nie masz pojęcia, jak cierpiałem, widząc w jej oczach miłość, której nie umiałem odwzajemnić. Kiedy poroniła, robiłem co w mojej mocy, żeby nasze małżeństwo jednak się nie rozpadło, ale mimo starań nadal byliśmy sobie całkiem obcy. Lily chciała, żebym ją kochał, a ja nie umiałem.

Ben popatrzył na Julie. Nie tak jak z tobą, pomyślał.

- Po kilku miesiącach zrozumiała, że nigdy jej nie pokocham - ciągnął. - Znienawidziła mnie i zaczęliśmy się kłócić o każdy drobiazg. W końcu poprosiłem swojego

adwokata, żeby wystąpił o rozwód. Zamierzałem powiedzieć jej o tym wieczorem, ale Lily już wiedziała. Podśluchiwała moją rozmowę z adwokatem. Była straszna awanturą, powiedzieliśmy sobie mnóstwo okrutnych słów.

- Jak to się stało, że umarła na łodzi? - zapytała cicho.

- Po tej awanturze Lily wyszła z domu. Wiedziałem o tym, bo wiesz, kamery, służba... Miałem nadzieję, że ochłonie i przynajmniej rozstaniemy się jak dorośli cywilizowani ludzie. Często wychodziła, kiedy się pokłóciliśmy, ale tym razem długo nie wracała. Poszedłem jej poszukać. Siedziała w żaglówce. Po prostu siedziała i nic więcej. Łódź była zamocowana, a Lily krzyknęła, żebym ją zostawił w spokoju, więc wróciłem do domu, żeby jej nie drażnić.

Ben potarł czoło, po czym znów złożył dłonie. Bardzo długo zabraniał sobie wspominać tamten wieczór, lecz tym razem wspomnienia nie dały się zatrzymać.

- Nie przypuszczałem, że wypłynie. Nie umiała żeglować i sama dobrze o tym wiedziała.

- Była wtedy burza? Rzeka jest wprawdzie szeroka, ale na co dzień dość spokojna.

- Nie - zaprzeczył Ben. - Słońce właśnie zachodziło i zaczęło padać, ale nie za mocno. Zapadł zmrok, a Lily nie wracała, więc znów poszedłem jej szukać. Już wcześniej robiła takie rzeczy, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. Wezwałem straż rzeczną i szukaliśmy jej razem motorówką. Ale nawet straż rzeczna nie mogła znaleźć łodzi. Żaglówka po prostu zniknęła. Miałem nadzieję, że Lily popłynęła z prądem w dół rzeki...

- Nie popłynęła - domyśliła się Julie.

- Nie - Ben pokręcił głową. - Deszcz padał coraz mocniej. Nie wróciłem do domu, tylko pływałem motorówką tam i z powrotem wzdłuż brzegu. Byłem tam całą noc. Rano znalazłem żaglówkę. A potem Lily.

Julie wyobraziła sobie, co wtedy czuł.

A więc tamto wspomnienie dręczy go aż do teraz, pomyślała ze współczuciem.

- Umiała żeglować na tyle, żeby dobić tą łodzią do brzegu, prawda?

- Nie wiem. - Ben wstał z kanapy, zaczął chodzić po pokoju. - Nieprawda. Wiedziałem, że nie umiała. Pozwoliłem jej wypłynąć. Dlatego się utopiła.

- Boże wielki! - Julie dopiero teraz zrozumiała, w czym rzecz. - Ty obwiniasz siebie za jej śmierć!

- To ja ją zabiłem! - Ben patrzył Julie prosto w oczy. - Mogłem ją zatrzymać, zanieść do domu, cokolwiek, byleby nie wypłynęła. Zniszczyłem ją, Julie! Nie umiałem jej pokochać i to ją zabiło.

- Zaraz, zaraz - mitygowała go Julie. - Lily była dorosła, wiedziała, na co ją stać. Nie umiała się obchodzić z żaglówką, a mimo to wypłynęła. Po ciemku i w deszcz. Specjalnie to zrobiła. Wzięła łódź, żeby się utopić!

Ben pokręcił głową.

- Myślisz, że nie chciałem w to uwierzyć? - protestował Ben. - Widzisz, ona powiedziała, że zobaczymy się później, że zaraz przyjdzie. Na pewno nie chciała...

- Umrzeć?

- No właśnie.
- A co stwierdził coroner?
- Żadnych obrażeń. Utoniecie.
- Umiała pływać?
- Tak.
- To znaczy, że chciała. Specjalnie się zabiła. Wiedziała, że będziesz się dręczył do końca życia.
- Powiniennem był siłą sprowadzić ją do domu - upierał się Ben wbrew rozsądkowi. - Powiniennem był ją zmusić, żeby wróciła.
- Powinieneś był ją kochać. To chciałeś powiedzieć, prawda?

Patrzyła jak opuszcza ramiona, jak kiwa głową. Był taki nieszczęśliwy...

- Och, Ben! - Pocałowała go delikatnie. - Nie można się zmusić do miłości, kiedy się jej nie czuje.

Podniósł głowę, popatrzył na Julie.

- To że jej nie kochałeś, to żadna zbrodnia - mówiła czule, jak do dziecka. - Ale zbrodnią jest powstrzymać się od miłości, kiedy kocha się naprawdę.

Chwycił ją w ramiona, przytulił. Nim zdążyli się pocałować, zadzwonił telefon.

Ben poszedł odebrać.

Julie objęła się ramionami, przyglądała się jego minie. Nic nie powiedział, tylko odłożył słuchawkę.

- Ława przysięgłych skończyła naradę. Idziemy.

Ben szybko wyprowadził ją z gmachu sądu. Myślała

tylko o tym, że nareszcie jest wolna, a Kreeg pójdzie za kratki na bardzo wiele lat.

W samolocie Ben wcale się nie odzywał i prawie na nią nie patrzył. Dopiero gdy samolot wylądował, podniósł głowę, jakby zdziwiony, że aż tak długo milczał.

Znów wsiedli do helikoptera i godzinę później znaleźli się z powrotem w Nine Oaks.

- Ben... - zaczęła Julie, stojąc na wielkich schodach.

- Zobaczymy się rano. - Nie mógł jej teraz słuchać.

Julie ścisnęło się serce. Znowu się przed nią zamknął.

- Nie mogę tutaj zostać - powiedziała z żalem.

- Tak, wiem. - Popatrzył na nią. - Jesteś już bezpieczna. Możesz wrócić do domu.

- Och Ben! Tu jest mój dom. Nie rozumiesz? Oddałam ci serce, oddałam ci całą duszę. - Głos jej zadrżał. - To się nigdy nie zmieni. Gdybyś kiedyś zdołał zwalczyć to swoje poczucie winy, gdybyś zechciał popatrzeć w przyszłość...

- Proszę cię, Julie...

- Nie, Ben. - Nie pozwoliła mu dojść do głosu. - Otwórz wreszcie oczy. Zrozum, ty nic złego nie zrobiłeś. Może tylko tyle, że dałeś złemu duchowi nieograniczoną władzę nad sobą.

Nic nie powiedział, tylko poszedł do gabinetu.

Julie westchnęła. Kochała Bena od zawsze. Nie chciała go stracić z powodu kobiety, która od pięciu lat była martwa.

Przysłała do niego jak delikatny zapach wiatru, poruszający zmysły, wprawiający w drżenie powietrze.

Ben poczuł jej dotyk, nim jeszcze usłyszał, jak szepcze jego imię. Odwrócił się na plecy i zobaczył przed sobą widok, który miał zapamiętać na całe życie: Julie naga i zwiewna, nieziemsko piękna wchodzi do łóżka, wsuwa się w jego ramiona.

Jego dłonie przesuwały się po niej, jakby chciały zapamiętać kształt drogiego ciała. Należało tylko do niego!

Chciał zapamiętać każdą chwilę, wszystkie uczucia, zachować je w sercu do końca życia. Krótkiego zresztą, bo był absolutnie pewien, że gdy Julie wyjedzie, on umrze z tęsknoty.

- Nie odchodź - poprosił, tuląc ją do siebie. - Błagam cię, nie odchodź...

Nie odpowiedziała, tylko głaskała go po policzku, tuliła się do jego piersi.

Chciał, żeby to trwało wiecznie, żeby nigdy się nie skończyło. A jednak coś go ciągnęło z powrotem: dawne myśli, uczucia, zastarzały ból... Zniknęły dopiero, kiedy zapadł w sen.

Jednak nim zasnął, zrozumiał, że przywrócono mu szansę na szczęśliwe życie, że jego związek z przeszłością to już tylko postrzępione resztki nieokreślonego cienia, wciąż błakającego się w udręczonych myślach.

Ben stanął na brzegu rzeki, rzucił zapaloną zapałkę na niszczyjący kadłub żagłówki. Wyschnięte stare drewno zajęło się natychmiast, a Ben siadł na ziemi i przyglądał się płomieniom.

Kiedy się rano obudził, w pokoju wciąż jeszcze pachniało Julie. Ten zapach przypomniawszy mu, co traci.

To nie słowa Julie zmieniły jego sposób myślenia, jednak dzięki nim zdał sobie sprawę, że co najmniej przez tydzień ani razu nie pomyślał o Lily, a nawet jeśli, to w całkiem inny sposób niż przez minionych pięć lat. W tej chwili była tylko starym, spłowiałym wspomnieniem, które on za wszelką cenę starał się utrzymać przy życiu.

Popełnił błąd, starając się pokochać kobietę, której pokochać nie umiał. Rzeczywiście, nie powinien był dawać Lily nadziei, należało szybko zakończyć ten nieudany związek. Tyle było w tym jego winy. Tyle i ani grama więcej. Nie zamierzał się dłużej tą winą obarczać. I na pewno nie kosztem miłości do Julie.

Był wolny. Do głębi duszy.

No dobra, skończyłem, pomyślał i odetchnął z ulgą.

Iskry strzelały, syczały płomienie. Ben zawsze wiedział, że kiedyś wróci do tego miejsca, wróci do tamtej chwili, jednak potrzeba było nieugiętego charakteru Julie, żeby chciał się przyjrzeć z bliska własnej przeszłości. To ona dała mu siłę, to jej miłość przegoniła cień Lily.

Popiół wzbił się do nieba, Ben się uśmiechnął. Wraz z tymi popiołami rozwiewała się jego przeszłość, znikało dojmujące poczucie winy.

Usłyszał warkot silnika, odwrócił się, popatrzył na dom, dostrzegł postacie kręcące się koło garażu. Benson, Willis, Dobbs. I Julie. Szykowała się do odjazdu.

Zerwał się na równe nogi, raz jeszcze popatrzył na dogasający ogień i co sił w nogach pognał do domu.

Julie uściskała Bena, podeszła do swego dżipa. Nie chciała, żeby ktoś widział jej łzy. Służący odeszli, jakby też nie życzyli sobie ich widzieć.

Otwierała drzwi auta, kiedy usłyszała, jak ktoś ją woła. Spojrzała w tamtą stronę. Najpierw zauważyła wznoszący się do nieba dym, a dopiero potem pędzącego ku niej Bena.

Od razu się zorientowała, że jest jakiś inny.

Wytarte dżinsy obciskały zgrabne uda, bawełniana koszulka opinała muskularne ciało... Lecz to nie strój przyciągnął jej uwagę, tylko lekkość, kocia miękkość kroku.

- Doszedłem do wniosku, że najwyższy czas zapomnieć o niektórych sprawach - powiedział, dopadłszy do dżipa - że trzeba je wreszcie pogrzebać.

- O jakich sprawach mówisz? - Zamarła.

- Potwór z jaskini, poczucie winy. Muszę się tego pozbyć, żeby zrobić miejsce innym uczuciom.

Julie patrzyła na niego oniemiała. Bała się uwierzyć w to, co jej przyszło do głowy.

- Uwielbiam, kiedy tak na mnie patrzysz! - Ben podszedł do Julie, ujął jej twarz w swe chłodne dłonie. - Nie zostawiaj mnie - poprosił.

- Nie mogę tu zostać. - Łzy nabiegły jej do oczu. - Nie chcę siedzieć w zamknięciu, choćby nawet razem z tobą.

- Nie musisz. - Julie chciała się odezwać, ale jej nie pozwolił. - Nic nie mów, tylko słuchaj. Zachowałem się jak

idiota. Sam się złapałem w pułapkę, sam zrobiłem sobie piekło z życia. Na szczęście ty się uparłaś, żeby mnie wyciągnąć z ciemnicy i wyobraź sobie, że ci się udało. Nie odchodź ode mnie teraz. Nie po tym, przez co razem przeszliśmy.

- Och, Ben! - Julie nareszcie uwierzyła.

- Tak bardzo cię potrzebuję, że nie mogę bez ciebie oddychać - mówił, patrząc jej w oczy. - Jesteś całym moim światem. Kocham cię, Julie DeLongpree. Bardzo cię kocham.

- Ben... - zaczęła, ale tchu jej zabrakło, w oczach znów zakręciły się łzy. Tym razem szczęśliwe. - Ja też cię kocham. Zawsze cię kochałam.

Uśmiechnął się, w duchu podziękował Bogu za tę kobietę, za tę drugą połowę swojej duszy.

- Zostań ze mną. - Musnął ustami jej usta. - Zostań moją żoną, Julie. Błagam, wyjdź za mnie za męża.

- Tak! Tak! - Nie wahała się ani chwili.

- Bogu dzięki - westchnął.

Przytulił ją do siebie, obsypał jej twarz pocałunkami, a ona śmiała się jak szalona.

- Kocham cię - powtórzył, wpatrując się w jej twarz, w połyskujące we włosach słoneczne blaski.

- Długo się nad tym zastanawiałeś - mruknęła czule.